

SNY MŁODZIENCZE, SNY LUNATYCZNE

Wydanie pierwsze. Podstawą edycji jest odbitka powielaczowa
Feliks Łańcucki *Podwodne księżycy. Wybór wierszy z 1994 roku*
ze zbiorów Biblioteki Naukowej Muzeum Niepodległości
w Warszawie

Wybór utworów, nota edytorska i aneks: Bożena Gorska

Muzeum Niepodległości w Warszawie
jest jednostką organizacyjną
Samorządu Województwa Mazowieckiego

Mazowsze.
serce Polski

Feliks Łańcucki

SNY MŁODZIEŃCZE, SNY LUNATYCZNE
WIERSZE OCALONE

Warszawa 2012

Publikacja dofinansowana przez:
Monikę, Łukasza, Aleksandrę i Mateusza Drażanów
Bożenę Gorską
Jana Niewińskiego
Zbigniewa Wojcieszka

© Copyright by Muzeum Niepodległości w Warszawie, 2012
ISBN: 978-83-62235-30-8

Inżynier

Plujesz smugami światel zaklętych w pryzmacie,
W oślepieńczym pędzie muskasz asfalty autostrad –
Ryczysz motorem wściekłym w drgań wieczystej febrze; –
W radiowym aparacie
Niweczysz odwieczne węzły świata,
A ze stalowych dźwigów budujesz mu osie,
Torpedą wytykasz wiatrom nowe szlaki,
I w rozpędzie, co wszystko po drodze obala.
Na nieba dymnym stropie zawieszasz swe ptaki,
Co z bloku aluminium wzięły swoje skrzydła.
Alfabetem wzorów ukrytych w kosmosie
Rozsiewasz w teleskopie obraz meteorów;
I widma ciał niebieskich przez filtry przepuszczasz,
By wykraść z stratosfery Z promienie
I opierasz wiszących mostów misterne spoidła –
Na przepaściach:
Przerzucasz nad nimi linowe koleje, –
A siecią dróg z granitu opasujesz ziemię
Glob ziemski przecinasz szyn błyszczącą wstęgą,
Po której przelatują z chrzęstem lux-torpedy
I giną pochłonięte w czeluściach tuneli.
Tchnąłeś oddechem pary prężnej w transatlantyki,
Co prują czas i wodę, –
Wysyłają iskrowe depesze
Tam, gdzie przy odbiornikach wsłuchani w takt Morse’a
Siedzą radiotelegrafiści.

W telewizorach życia rozsyłasz seanse
Po krańcach świata,
Gdzie drzemią w słońca blasku żelazo-betony.
Uderzasz młotem myśli w zastygłe granity
I wyrywasz z ich wnętrza tysiącletni onyks,
By kryształem oprawić głębinowe dzwony.
Systemem tam i kanałów,
Z dna morskiego wyłaniasz ziemi metr po metrze;
I nigdy nie wypoczniesz. – W perpetuum mobile
Zmieniony twój mózg twórczy – nowych szuka znaków,
By nową odkryć prawdę, co wzleci nad wieże
Najwyższe, w strukturze wiązań zawile
Jak komórki twojego mózgu
– Inżynierze! –

F. Łańcucki kl. III a
„Nasz Widnokrąg”, marzec-kwiecień 1937, z. 6-7

Nokturn

W palcach cisza zakłeta zadrgała omdlałą kantatą;
Przenizaly się tony kaskadą miękka – w łez naszymykniku –
Białe, modlące się ręce wieńczyły zbladłe skronie katów
Diademami zakrzepłej krwi męczenników.
Rozchybotały się dźwięki hukiem grzmiącym, piorunnym,
I gromami padały w chlebne skiby rozbudzonego sumienia.
Bunt poszarpał mgielną poświatą wysrebrzone struny,
Na których Stwórca rozpiął ciężką tajemność istnienia.
Cisza przywarła niema do zimnych klawiszy,
Błękit nocy zgęstniał za progiem –
Zamknięta w czterech ścianach biedna ludzka dusza
Najserdeczniej wadziła się z Bogiem.
Za oknem gwieździło się niebo drogą mleczną.
Przy pianinie postać pochylona w bolesnej zadumie
Rozmawiała symfonią potężną, bezśmiertną, odwieczną,
Jak tylko dusza umie.
Wiatr w szyby błękitne cisnął czarne, klonowe liście –
Prochy myśli śmiertelnej palce śmierci składały w urnę.
Białe ręce zadrgały: Nieśmiertelnego Ducha przyjście
Powitały bolesnym nokturnem.

F. Łańcucki kl. III

„Nasz Widnokrąg”, marzec-kwiecień 1937, z. 6-7

Dusza

Wiosenną, gwiezdną, cichą nocą
Błękitne gwiazdy drżą, migocą –
Welon mgieł siwych serce smęci
I błogosławią nocy święci.
Gdy w bladym kwiecie rąk anielich
Kryształnej ciszy splywa kielich,
A ziemię cichy sen upaja, –
Dusza na prochu gwiazd, rozstajach, –
Ma dusza drżąca i stargana, –
Niemą modlitwą rozśpiewana
W zorzach północnych – w zgasłych słońcach
Szuka oblicza Boga Ojca...

F. Łańcucki III a
„Nasz Widnokrąg”, maj 1937, z. 8

Akwarela

Drgającymi plamami – w srebrnej sieci pająka –
Płowozłotym zacichem dojrzałego żyta –
Sennym błękitem wody zastygłej na łąkach –
Półtonami – leniwie – spod mych palców wykwitasz.

W brzozowo-szmernej ciszy wiolinnych zapleceń
Wilgotny aksamit liści – wkołyszanych uśnień –
Za mało jest kolorów i światła w pałecie,
By mięką plamą rzucić jedwabisty plusk – uśmiech.

F. Ł. kl. IV a

„Nasz Widnokrąg”, styczeń-luty 1938, z. 4-5

* * *

W tę noc myślałem o Tobie –
 Śnieg padał wielkimi płatami.
Strach w rozszerzone źrenice
 Zastygłe palce wtykał.
Myślałem: czy ziemia przecięta srebrnymi szynami
 W noce oddycha.
Tęsknota w wózkach zepchnięta
 Na ślepe bocznicę torów
Kłębi się, rośnie i szumi...
 Miłością bez sensu i racji.
Stuk kół – zielone światła semaforów
Znaczą: mijamy zapomniane stacje.

Krzemieniec, 25 II 1938 r.

Księżyc dzieciństwa

Psy skomlą.

To lancet bólu drgające trzewia nocy
wąskim księżycem pruje.

Sekundy na płytach kamiennych przestały stukać,
W zaułkach okna ślepną. Nie pójdę samotnie
zagubionego szczęścia na oślep szukać.

A już dzieci uśpione złowiły księżyc na wędkę
(– płotki utonęły w mule odległej Ikwy,
a w Dniestrze utonęło dzieciństwo moje –)
Pod studnią porzucono pękate tykwy,
dorożkarz chude konie przywiedzie do wodopoju.
Napiją się chciwie księżycą błyszczącej rてci,
w rozdętych nozdrzach na stację spod Bony wiatr poniosą.

Teraz tylko ciszę pamięci
wspomnień przecina wiosło.
Rosną przede mną dachy, krużganki, krzywe ściany
(– za chwilę z ciemnych okien wypłyną lunatycy –)
O świcie czerwone słońce zachrypłym koguta pianiem
wypłoszy nocne strachy z wąskiej i krętej ulicy.

Krzemieniec, 10 III 1938 r.

F. Łańcucki kl. IV a

„Nasz Widnokrąg”, kwiecień-maj 1938, z. 7-8

Jodły czorsztyńskie

Tam bór. Tam szumią jodły wysoko, wysoko w górze.
Stamtąd zapach żywicy usta wypełnia zdumione.
Jodły, jodły – nie skrywać wam czubów w strzępiastej chmurze,
Nie dla was cienie wieczoru pionowo – w skos rzucone.

Śmigłe maszty, a górą żagle łopocą zielone,
W dole wodokok skałę – spienioną bryzga głębiną.
O smukło chwiejne maszty, żagle zielone – wam stromym
Potokiem na wody Dunajca – świtem pienińskim spłynąć!

Siekiera słońca skwarem w wilgotne pnie uderza,
Nocą, pod piłą księżycy niknące skrzypią godziny,
Spod rdzawej kory wiatrem rozszczepionego pancerza
Prószы srebrzysty piasek – pachnące żywicą trociny.

Feliks Łańcucki kl. IV a
„Nasz Widnokrąg”, kwiecień-maj 1938, z. 7-8

Podwodne księżycy

Powstrzymaj kroki zuchwałe. Złowrogo szumi głębia.
O jakże jesteś wspaniała w słońca miedzianym kasku.
Ramiona w górę wyrzucasz i pierś jak łuk napinasz,
Rozcinasz bryzgi piany. Ślad stopy pogłębia się w piasku.

Zniknąłeś. Jesteś szaleńcem lub heroicznym świętym.
Los powierzyłeś ramionom; wątłe nie zbliżą brzegu.
Gdy woda i niebo ciekłe, błękitne elementy
Zatopią głowę wzniosłą, myśli strwożonych biegun.

Srebrzysta piana z oczu daleki horyzont ci zetrze
Odpłynie w ukos zachodu; bury, falisty i zmięty,
Tylko drapieżnie chłonąc świszczące w płucach powietrze,
Do krzyku usta wyteżysz – stężałe milczeniem flety.

Kamienny spokój na twarzy i bladość śmierci na czole,
Martwym źrenicom obca bezbarwność wody.
Czy dusz ogniem wykwitnie? zwycięsko
Ciało: odarta z kory ścięta wierzbina młoda.

Z uwiedłych gałęzi – ramion zielone wytrysną pędy,
Jak czule dno cię przyciągnie, jak mocno wrosną korzenie,
Dokąd uniesiesz trwogę? i serce odpłynie którądy?
Nabrzmiałe treścią namiętą, a już nie twoje więzienie.

Nieznanej przygody obecność – poznania bolesny spokój
Wieczną harmonią światła, półplaszczyn barw i cieni,
Gdy bladym seledynem księżyc zapłoną o zmroku,
Połączysz w nowych kształtach, których już czas nie zmieni.

Krzemieniec, 20 XII 1938 r.

W lustrze

Nad rzeką dzieciństwa zgubione ustrzec
 Proporczyki szumiące wiarą –
Tak trudno. Dziś w wody lustrze
 Zmarszczki i zarost.

Uśmiech dziecięcych warg odpływa
 W szklaną różowość świtu;
Niebo jest trumny pokrywą,
 A było chustą błękitną.

Przez płowe włosy, przez lata
 Bujną przestrzenią wiało,
A dziś tak ciężko przygniata
 Znużone ciało.

O Boże! Boże dzieciństwa
 Wietrze i wodo!
Wróćcie mi niebo jasne –
 Straconą młodość!

Krzemieniec, 1938 r.

Cisza muzyczna

Tobie złoto jesieni – mnie śpiew zabłąkany
W mroczne uliczki uśpionego miasta.
Tobie owoc z kaliny – nade mną wyrasta
Noc upierzona sowy krzykiem szklanym.

Blasku oczom nie doda powleczone zmierzchem
Zachodnie niebo – pochylone nisko.
Sny znów będą nużące, aż spłoszone błyskiem
Świtu na oknach – ulecą i pierzchną.

Słuchaj: oto świt biały trzepoce muzyczną ciszą
Jak pisklę wypadłe z gniazda. Przyjaźnie
Wróć go drzewa ramionom. Trwożne są – w bojaźni
Wysoki szum, zielony wiatr kołyszą.

Dobre są dłonie Twoje gdy pieszczotą darzą,
Dzień napełniony błękitem powrotu
Słuchaj: przeszła jesień wspomnieniami
I czekaj trwożnie z nieruchomą twarzą.

Bo trudno jest gdy drzewa goreją na niebie
I złote liście spadają na ziemię
Zagłębić w glebie myśli chmur wełnisty lemiesz
Z woni i smaku próchna wskrzesić dawnych siebie.

Czas jest błogosławiony – a cisza szczęśliwa
Gdy się ku nam przybliży – czy ginie w oddali.
Płynąć czasem wspomnieniem, czasem – bystrą rzeką
I słuchać jak nas głębia wieczności przyzywa.

Krzemieniec, styczeń 1939 r.

* * *

Tu tylko cisza zachodu. Lato i lipiec.
Jak poszum liści wieczornych drżącymi rękoma ująć?
Jak głosy palcom powierzyć? Fałszywie brzęczącą struną
Śpiewa pod smyczkiem zmierzchu pęknięta dusza skrzypiec.

Jak stworzyć nocy symfonię, ton podać łąkom?
Ku harfie w pobliskim stawie księżycą gong pochylić?
Zanurzę czoło w trawie i spośród zeschniętych badyli
Wydzwonię bas huczący spóźnionych, ciężkich bąków.

Już nietoperze kreślą nerwowe pięciolinie –
Jak skrzyknąć rozsypane po niebie gwiazdy – nuty,
Jakim kluczem je objąć, pod czyją grać batutą,
Niegodnym instrumentem, gdy dusza zmarła w wiolinie.

Krzemieniec, luty 1939 r.

Rybka na choince

Spojrzyj synku maleńki:
Cackami obwieszona
Złoci się i czerwieni
Choineczka zielona.

Dobry Bozia błękitnie
Śniegiem drzewko przyprószył
I rozkazał umilknąć
Za oknem zawierusze.

Ciepło tu i przytulnie,
Zacisznie i miło,
By cię synku ucieszyć
Boże drzewko ożyło.

Iskry srebrne i złote
Z pasemkami błękitu
Na gałązkach zawiesza
Biały anioł ze szczytu.

Pajac z cyrku w cylindrze
Po pasemku się wspina
A na wyższej gałązce
Wiruje kolombina.

Psotna małpka z Afryki
Kusi Kurpia – sąsiada,
By miodowe pierniki
Z nią na spółkę wykradał.

Groźny dobosz truchleje,
Bo przecież nie ma rady,
Że od świeczki się stapia
Taraban z czekolady.

Zuchowaty żołnierz
Nim się zmieni w cywila
Skrycie pragnie ustrzelić
Hipopotama z Nilu.

Nieco z boku – ukradkiem
Wśród najwyższej uciechy
Rdzawo-złota wiewiórka
Gryzie srebrne orzechy.

Obok pająk błyszczący
Nieustannie nastawia
Gęste, jedwabne sieci
Na tęczowego pawia.

Już widzi jak go schwyta
Jeśli nie w dzień to w nocy –

Wpadła do sieci rybka
– Na próżno się trzepoce.

– Co, chcesz spać mój syneczku,
Już cię choinka nuży?
Chodźmy – więcej zrozumiesz
Kiedyś, gdy będziesz duży.

Gdy latem ogorzały
Przymrużysz oczy w blasku
I patykiem nakreślisz
Rybę na piasku.

*F. Łańcucki kl. I L.O.
„Nasz Widnokrąg”, marzec 1939, z. 1*

Prośba do lasu

Lesie jodłowy, ku niebu wybuchasz prosto –
Daj nam wysmukłą bujność i siłę wzrostu.

Chmury puszyćcie skłębione w czubach odmieniasz –
Spowij nas w liści zieleń i błękit cienia.

Niebo o zmierzchu nurzasz w blaskach szkarłatu –
Podaj profilom naszym bujny pęd wiatru.

Gdy dusze nocą bezgwiezdną odpłyną w góry
Daj ciałom drzewa surowość – nie kruchość wiórów.

*F. Łańcucki kl. I L.O.
„Nasz Widnokrąg”, marzec 1939, z. 1*

Przed burzą

Przepłynęły przez twarz obłoki
– Twarz zatapia się w bujnej trawie –
Wiatr błękitny i wiatr wysoki
Lśni srebrną łuską na stawie.

Niebo – kielich kwiatu wonnego –
Krople miodu słoneczne sączy
W trawami zarosłe u brzegu
I sitowiem rzęs – jasne oczy.

Od płynnego złota nadmiaru
Zmniejszając się wolno źrenice –
Nenufarów liście – powieki
Zakrywają dwie tajemnice.

Wtedy wielkie, wielkie znużenie,
Cisza groźny niepokój wróży,
A jaskółek strwożonych cienie
Wylatują naprzeciw burzy.

Serce jak ryba w jeziorze
Gwałtownie w piersi się rzuca:
– Zawsze sercu za mało ciszy
I oddechu za mało płucom.

*F. Łańcucki kl. I L.O.
„Nasz Widnokrąg”, marzec 1939, z. 1*

Ćmy

W opuszczonym mym ogrodzie
 Gwiżdże kos.
Ogród słucha jak tężeje
 Srebrny głos.

Już fanfary płyną górne
 Srebrnych trąb,
Aż się szronem białym okrył
 Barwny klomb.

Czarne ćmy wtulają dźwięki
 W skrzydeł puch.
Trwam przy oknie i wyteżam
 Chciwie słuch.

Gdy zwabiona światłem lampy
 Płynie ćma,
Gwiżdżą kosy, to kuranty
 Zegar gra.

Krzemieniec, marzec 1939 r.

Świątynie

Na chwiejne i wysmukłe
Zielone drzew pilastry
Słońce z kopuły nieba
Miodowe rzuca plastry.

Dzikiej rajskej jabłoni
Obfitość rdzawo-złota,
Wiesza malutkie jabłka
Najserdeczniejsze wota.

W pogoni za jeleniem
Stanęła zadyszana
Z słonecznym łukiem w dłoni
Brazowo-smągła Diana.

Żywicy woń wibruje
Dławi mnie i przeraża
Pusta w świątyniach naszych
Kamienny chłód ołtarza.

Krzemieniec, marzec 1939 r.

Wczesna wiosna

Na żarkich strunach słońca wiatr rozpiął wartkie skrzydła,
Trzepocą myśli moje jak ptaki schwytane w sidła.

Skłębione chmury płyną. Niebo wysokie, bławe,
Surowo pachnie ziemia. Smugi świetlisto-rdzawe.

Dzieci idą do parku. W rękach niosą obręcze.
Tak mnie wiosna osłabia i jasność tak męczy.

Nim powrócę do domu twarz ku ziemi pochylę,
I rysuję widziane dawno kiedyś profile.

Krzemieniec, marzec 1939 r.

* * *

Przyjaciele! To ku nam właśnie wybiegły wzgórza,
A pod soczystą zielenią słoneczne prężą się stoki –
Pójdziemy na przechadzkę. Uskrzydlił wiatr obłoki,
Jak żagle rozwinięte w pejzażu je zanurza.

Błękitno-złoty pejzaż o miękkim połysku pluszu,
Leniwie Ikwa w dali haftuje nitką srebrną.
Miasto tak nas znużyło. Było nam wszystko jedno,
Czy drzewa nieme stoją, czy szumią jak pióropusze.

A teraz – jakże inaczej. Szczęśliwi bez przyczyny
W głębi przyjaznych oczu, jak w krajobrazie toniemy,
I natchnionymi palcami z nieba wyłuskujemy
Dojrzałe, letnie słońce – jak owoc leśnej leszczyny.

Krzemieniec, marzec 1939 r.

* * *

Księżyc błyszczący w gotyckim nieba ostrołuku
I wysrebrza topole – strzeliste kolumny;
W kamiennym sarkofagu, pod pokrywą trumny
Śpi Wódz spowity w popiół zbutwiałych buńczuków.

Wśród bębnow gromkich bicia, pośród armat huku
Nie podniesie przyłbicy ciężkiej – rycerz dumny
Twardy jest spokój śmierci. Już bojowe surmy
Nie wywiodą uśpionych chorągwianych pułków.

Tylko w noc tę Poeta w czarnej pelerynie
Drapowanej patosem przez podwórzec płynie,
Gdzie kościelnych krużganków czernieją arkady. –

W samotności natchnienia przesiewa przez palce
Perlister gwiazdy – ziarna bożego różańca
I o Słowo się modli milczący i bladey.

F. Łańcucki kl. I L. O.
„Nasz Widnokrąg”, kwiecień 1939, z. 2

Wołyń

Upokorzony złą samotnością
I próżną pychą –
Patrzę jak słońce miodem napętnia
Kwiatów kielichy.

I jak wieczorem do rudych uli
Wlatują pszczoły,
Jak błękitnieje mgłą niebieskawą
Szeroki Wołyń.

Gdy ciemne chmury jasnością bodzie
Róg księżycowy,
Z łąk śpiewających rechotem żabim
Wracają krowy.

Mleko wytryska ciepłe i białe
Z kulistych wymion –
Wtedy znajduję niespodziewanie
Człowiecze imię.

Borbin, 29 VI 1939 r.

Jabłoń

Jak młodo mi i gibko, zielono i błękitnie,
Szeroko i bezstronnie – tak ręce wiele warte,
Że ciało me drzewieje, sokami bucha, kwitnie,
Korzeniem w ziemię wryte, gałęziami w niebo wsparte.

W korzeniach wieją wiatry, w gałęziach perlą ptaki,
Żywica tryska z kory, dojrzała nieba słoneczność –
A tu już jabłka płoną; tajemny, wieloraki
Obrzęd owocowania i bujna długowieczność.

Stryj, 5 VIII 1939 r.

* * *

Jestem dzisiaj dziwnie wesół.
Spytasz czemu – bez przyczyny.
Uświęć bracie ze mną razem
Me dwudzieste urodziny!

Dobra siostra wino poda,
No i torcik orzechowy.
Sto lat! Wino wszak nie woda!
Niech nam żyje As Pikowy!

Precz kieliszki – pobić szklanki!
Niech się słońce w żyły leje,
Odsłoń siostró więc firanki,
Wino stare – mocno grzeje.

A już w głowie dudni, szumi,
Zieleń – lasy – mchy – porosty,
Sarny – szpaki – ryby – strumień,
Stawy – drzewa – rzeki – mosty.

I świat cały zwariowany
W rytmie dzikim w krąg wiruje,
Rymy się gdzieś zapodziały,
Kłuje, snuje – poczęstuje?

Brednie pleciesz żem pijany
– To się wszystko wokół kręci –
Jubileusz malowany
A jubilat bez pamięci?

Właśnie, właśnie. Lat dwadzieścia –
Życia trzecia część – połowa;
Głupstwo! Toczą się korale.
Dni-uśmiechy, noce-słowa.

Wieczór już? Wyjść do ogrodu?
Można nie wychodzić wcale...
Czy pozwolę papierosa?
Nie. Dziękuję. Już nie palę.

Czy ze względu na swe zdrowie?
– Tak – tak właśnie. W zdrowym ciele...
Cenne zdrowie... W zdrowym ciele...
No, dokończcie przyjaciele...

Ulica Miodowa w Krzemieńcu Ulewa

Ulica w nagłych skrętach goni
Jak rozpętany wiosną strumień.
Chwieje się, płynie, piętrzy, szumi,
W szalonej, dzikiej mknie pogoni.

Schnącą bieliznę z długich sznurów,
Jak żagle, ściąga w mig młynarka –
W strugach ulewy płynie arka,
Unosząc dzieci, koty, szczury.

Strwożona, zbita drży ulica,
W łoskocie, zgielku, chrzęście, stuku,
Aż w stronę tęczowego łuku
Wzleci znad dachów gołębica.

Południe

Nuda i pustka. Żar spiekoty,
Leniwy spokój u podcieni.
Pustka otwartych, chłodnych sieni,
Na dachach nieruchome koty.

Zgarbiony Żyd wciąż nad szynkwasem
Trzepocąc dłońmi w rytm się kiwa.
Odłamkiem szkła od flaszki piwa
Wychudłe dzieci grają w klasy.

Martwa natura

Konstantemu Tiuninowi

Gdy ciemno jest na dworze i gdy w duszy smutno,
Rozpinasz na stalugach jak niebo szare płótno.

Zgubiłeś w swej palce barwy tęczowe pióra,
Pozostał jeden temat: prosta, martwa natura.

W wieczoru kolorycie falą pędzla poruszeń
Wykwita kompozycja chwili i smutnej duszy.

Dusza – bezkształtna bryła szkła – zimna i śliska,
Chwila znieruchomiła jak w tańcu odaliska.

Chwile

Pawłowi Hallowi

Wieczór spływa skrzydłami ciemnych nietoperzy.
Smutek spokój mi ześle – samotność zabierze.

Łódź księżycy wpłynęła w koralu atole –
Przesuwam śpiew daleki – jak rękę po czole.

Pod powiekami drgają tęczowe motyle –
Zatrąłem wspomnieniami najjaśniejsze chwile.

Umilkły w moim sadzie srebrnopióre wilgi –
Po niebie chmury płyną – różowe flamingi.

Sonata Księżycowa

Miniemy Tadeuszu ostatnie latarnie:
Wiatr jak liście uwiędłe potarga nam słowa,
Które nic już nie znaczą – a noc księżycowa
Obrośnie nas szyderstwem i wzdardą ogarnie.

Gdy zapach nas owionie srebrzystych topoli
I na ustach położy wonne płatki pluszu,
Powrócimy w zaułki zatopione w tuszu
Ciężkich snów i ciemności – aby serca trwonić.

Będziemy długo błądzić przez puste ulice,
Wsluchani w odgłos kroków, aż przez okiennice
Sącząc się struga światła zabyśnie w ciemności.

Sonatę Księżycową ktoś gra na pianinie,
Więc łaska niespodziana strugą tonów płynie
Ku nam – dalekim sobie – a bliskim wieczności.

* * *

Tamta wiosna szumiała w drzewach, bulgotała spienioną rzeką
Tak już dawno – a może wczoraj.
Teraz tylko zmierzchy jesienne leniwymi strużkami cieką
Przez szyby. Wspominać nie pora.

Lecz wystarczy patrzeć i milczeć – i utonąć w gałęzi szumie
I w szeleście gnijących liści,
Aby wreszcie siebie odgadnąć, aby wszystko dobrze zrozumieć,
Aby pozbyć się nienawiści.

Wtedy znowu łopot chorągwi. Wtedy radość zielona, święta
Spłynie do serca ustroni –
Pochyła się leśni ludzie, kwiaty i zwierzęta
Do cichej dłoni.

Krzemieniec, 6 XII 1939 r.

Bajka o śniegu strzelistym

Śnieg gałęzie obsypał opalowo – srebrzyście,
Okna srebrem scalał o błękitnym poranku.
Na me ciche odejście, na czarowne Twe przyjście
Sośninowe okiście pouginał przy ganku.

Musi przecież być jasno, miękko, cicho, radośnie,
Gdy wieczorną godziną na me przyjdiesz pokoje.
Słuchaj: ptak się trzepoce w pokrzywionej gdzieś sośnie,
O czym mówić będziemy, ukochanie Ty moje...

Śnieg puszysty na rzęsach, śnieg puszysty na głowie,
Wirują srebrne płatki w bezszelestnym biegu.
Usiądź w blasku kominka. Cicho Ci opowiem
Zimową bajkę o strzelistym śniegu.

Madonna Liryczna

Zofii Kozłowskiej

Pachnie miodowy lipiec. Spójrzij: sianokosy
spod srebrnej kosa ciekną. Brązowa, krzepka dziewczyna
kołysząc lekko biodrami, niesie w dwojaczkach mleko
i kromkę żywnego chleba. A ten pod lasem chłopak,
co teraz przystanął by spocząć –
i dłonią jak grabiami przygląda pasmo włosów –
to pewnie jej kochanek.

Łąka się ugina
falami świru świerszczy grających nad rzeką
ku harfie księżycowej. Od drgających pasem
zieleni i błękitu trudno uciec oczom.

A my stojąc w milczeniu w siebie zasluchani
cóż wiemy? Jak zgłębimy nieodgadłe życie?
Czy ma zdrową woń potu? Czy niepokój łani
nawołującej młode?

Na ciemnym błękitcie
już pierwsza świeci gwiazda, gwiazda fanatyczna.
Myślisz że nagle ciszę nam rozłoni
Ognisty deszcz stalowy śmiertelnych szrapneli.
Nie mów. Nie mów.

Łąkami przeszła Madonna Liryczna.

Krzemieniec, 12 VI 1940 r.

* * *

„... Twoje imię wciąż dzwoni aksamitnie w mej duszy...”

(P.H.W.)

Wszystkie twarze odpłyną, wszystkie zgasną pejzaże,
Wszystkie barwy pobledną z przemienionych już zdarzeń,
Ale się ucieleśni, przeczuwane gdzieś we śnie,
Co ma ciszę Twych oczu, smak dojrzałych czereśni.

Choć pokorne jak obłok, ma drapieżność jastrzębia
I gwiazd trwogę gdy niebios przechowuje je głębia.
Poza kruchym jest słowem i nie zamknę go w rymie
Więc nie pytaj, nie badaj jak miłości na imię.

Krzemieniec, 7 VII 1940 r.

* * *

„... Twoje tylko oczy
i Twoje ręce są nade mną...”
(Liebert)

Jeszcze się błady uśmiech na Twojej twarzy błąka
(Pamiętasz barwne kwiaty na nadikwiańskich łąkach)

Ociekające wiosło w rytm pieśni się wypluska
Więdną gorące usta na Twych wilgotnych ustach.

W złocistej drzew koronce, w piaszczystej polnej drodze
Drga jeszcze Tve wspomnienie, którym żar serca chłodzę.

O, nie przebłagam czasu modlitwą nadaremną
Tylko Tve jasne oczy, Tve ręce są nade mną...

W powrocie z Podlesiec, 23 IX 1940 r.

Ucieczka z miasta

Deszcz gwiazd szkarłatnych, błękitnych kamienne ulice chłostał.
Tak trudno było tym ciosom w parne wieczory się ostać.

Tak gorzko wśród bladych latarni wysoką wiarę rozzarzyć,
Obojętności mgłę zedrzeć z dalekich, skupionych twarzy.

I tylko w ciemnych zaułkach pełgają cienie ogromne,
Bezludną ulicą wieje wiatr beznamiętnych wspomnień.

Dłonie me w skurczu bolesnych wydarzeń obrasta ciasto,
O piece wiecznie płonące! Żegnaj i przebacz mi miasto!

Sprzeczność

Smutna Nike ująwszy w dłonie miecz zwycięski
Laurem wieńczy poległych wojowników czoła.
Tak smutną być musiała dusza archanioła,
Kiedy ogniem wytykał wygnańcom szlak klęski.

Ani harmonia ciała, ani profil męski
Obumarłym milczeniem o litość nie woła...
Tak spokojnym był anioł, gdy w niebo wstępował,
Choć to, co rajskim było, miało stać się sielskim.

Muzo! Chociaż natchniona, fanatyczna, drżąca,
Gorącym wichrem smagasz, czarnym skrzydłem trącasz
I groźną ręką drogi wskazujesz tułacze –

Poeta w zмовie z nocą, z drzewami w przymierzu,
Czule w struny potrąca zamiast w nie uderzyć,
I lutnia, co ma wzywać, pod palcami płacze.

Trościaniec, 2 X 1940 r.

Fryz

Oto lutnie i fletnie starogreckiego teatru,
Maski aktorów legły w ruin i zwalisk popiele...
Cyprysy nieruchome, oblane srebrem księżycą
Okaleczałe stoją jak obeliski z marmuru.

Może obok nich przejdzie niewinna Antygona
Kształtna i w zwiewnych szatach utkanych z obłoków i wiatru,
Z glinianym, smukłym dzbanem na obnażonym ramieniu,
Nie wiedząc o ofierze w świętym cienistym gaju.

A skoro świt rzeńskim winem napelni amforę nieba
Pochód pasterzy i owiec otworzy nowe Dionizje.
I czy nie będzie szczęśliwy pasterz grający na flecie
Opodal ściętej kolumny piosenkę dla ukochanej...

Trościaniec, 5 X 1940 r.

O rozbitej okarynie

O wierna, miłosierna, słoneczna okaryno,
Perłąca słowikami Schuberta serenadę!...
... Bzy wilgotne wciąż pachną i jaśminy blade
Gorącą, duszną wonią w tamtą wiosnę płyną.

Wśród bzów za oknem gniazdo słowicze dojrzewa,
A tobie zmilknąć przyszło – rozbita na zawsze.
I chociaż wiosną szumy przyjdą najłaskawsze
Nie będziesz śmiechem dzwonić, ani wiosnie śpiewać.

Jak ty umilkły przeszłe miesiące i lata,
Nieczułe są i śmieszne jak kawałek gliny,
Tragiczne jak list lila pachnący jaśminem,
Gdy dotarł na wieś głuchą po śmierci adresata...

Trościaniec, 24 II 1941 r.

Liliana

Izabello, Zofio, Amelio, Joanno,
Krystyno, Lucyno – jasna wodna panno.
Z duszy, mrocznej dżungli ścieżynami wspomnień
W tropikalne noce przychodząca do mnie.

Na lilijnym liściu falą kołysana,
Srebrną mgłą owita, wietrzykiem owiana,
Uciszyć chore serce – przezroczyste dłonie –
Zimny blask księżycy zleć na moje skronie.

Modrą wonią płyniesz, ostrą barwą chwiejesz,
Lękam się Cię nazwać, bo mi się rozwiejesz.
I znów będę krzycząc po nocach się budził,
I daremnie szukał i namiętnie trudził.

Rano syn do szkoły wyjdzie z kamienicy,
Ujrzy Cię niknącą w zakręcie ulicy.
Będziesz wonią kwitła, legendą płynęła,
Nazwie Cię w kajecie: Legenda Aurea.

Umęczone w wierszach zakwitną kasztany,
Wzrok Twój będzie „cudny”, głos „zaczarowany”...
... Pozwól więc prawdziwym zakwitnąć kasztanom,
Halino, Emilio, o Mario – Liliano!

Trościaniec, 10 III 1941 r.

Flety

Wiatr w badyle uschle dmucha,
Księżyc płynie niebem modrym,
Zegar w kącie wciąż wydzwania
Głuchy akord za akordem...

Dawno, dawno... Białe panny...
Pożegnania... Czułe walce...
Rześki, chłodny wiatr poranny
I rozwiane, jasne włosy.

Mrok opala siwe sprzęty,
Szczerzy białe kły pianino,
Dudnią kroki i łzy płyną,
Gorzkie łzy i łkają flety.

Drgają palce, płyną dźwięki,
Mozartowe grają flety,
W fantastycznym korowodzie
Szeleszczące menuety.

Zapach perfum, obłok pudru,
Sponad peruk utrefionych,
Iskry błyszczą w diademach
I w szmaragdach drżą zielonych.

Pląsające krynoliny,
Pantofelki atlasowe,
Okrażają zwartym tłumem,
Osaczają biedną głowę.

Nagle... Nagle... Znowu zaśpiew
Niespokojne gwizdzą flety,
I trefionym łbem uderza
Biały markiz o parkiety.

Nad leżącym już markiza
Łamiąc rączki się pochyła
Na żabocie rubinową
Krwiał zakwitła złota szpila.

Ach markiza nieszczęśliwa
W senny wachlarz liczka skrywa
I wysokim spada dźwiękiem
W groźną ciszę ła fałszywa.

Więc w ucieczce nieprzytomnie
Palce chronią się w gawocie
Opryskują szklane tony
Róże i klejnot w żabocie.

Obcy człowiek przy pianinie
Nagłą śmiercią przerażony,

Palce z kropel krwi otrząsa
I rozbudza w strunach dzwony.

Śmierć pokraczna i szydercza
Ku czarnemu pudłu zmierza,
I wychudłą, płaską dłonią
W klawiaturę snów uderza.

A ten duet mrozem tchnący
Ścina w sopel każdy nerw,
I przygniata i łomocze
I tratuje marche funèbre.

Wiatr w badyle uschłe dmucha,
Księżyc płynie niebem modrym,
Stary zegar wciąż wydzwania
Głuchy akord za akordem...

Trościaniec, lato 1941 r.

O słowach

Kurtynę zasłonięto, ale jeszcze w krąg
Księżyc prószy przez szyby srebrzyste trociny.
Tknęci pieszczotą gorzką niewidzialnych rąk
W bolesnym geście trwamy – aktorzy bez winy.

Jeszcze grzbiety nam kryją nędzne peleryny,
Których nie dożarł dotąd niecierpliwy mól.
Rzuć je w kąt. Niepotrzebne. Dosyć krwawej drwiny,
Kiedy widownia szydzi z zapomnianych ról.

Już późno. Sala pusta. Już upić się musiał
Nasz kolega, bo w szatni dosyć smętnie łka:
„Sybir – Sybiru ja że nie boju sia,
Sybir, wied toże ruskaja ziemia!”

Ale jeśli musimy tajne czynić gusła,
Czuć oddech mroźnych nocy i natchnienia ziąb,
Niech słowa nam się poczną, nie giną na ustach,
Niech siebie wytłumaczą i odkryją głąb.

Niech ze skały, jak Mojżesz, strumień wyprowadzą,
Co pragnienie by gasił i ochłodę niósł –
Fale przejrzyste, wierne – co nigdy nie zdradzą
Oracza, koni, wróbli, białopiennych brzoź.

Trościaniec, lato 1941 r.

Tarnina

Dziś powróciłem nad rzekę. Wystarczy przeleźć przez płot,
Który się nawet pochylił, i poprzez gęste wikliny
Przedrzeć się miękko jak kot – a nie wiadomo skąd –
Krzaki, urwisko i granatowy owoc tarniny.

Dojrzałe tarki zrywałem. Pokłulem się jak dawniej,
A potem z góry na wodę rzucałem kulki szklane...
Jak każda cicho spada i zaraz jak zabawnie
Otula się banieczką miękkiej, srebrzystej piany.

Lecz nagle, nie wiem dlaczego, przyklęknęłam zdjęty trwogą,
Już nie ufałam urwisku. Wiedziałam: mogę się stoczyć;
I myśl: to nie tarki, to przecież oczy być mogą,
Są takie zimne i szkliste jak matki zmęczone oczy.

Przetarłam powieki. Tak ciężko. Nie wiem czy we śnie,
Ale słyszałam wyraźnie matowy szelest słów –
Matka tak smutno patrzyła i tak mówiła boleśnie:
„Pamiętaj, synku, pacierz wieczorny zmów – ”

O, matko! Pomódl się za mnie. Przebacz. Nie z mojej winy.
Nie nauczyłaś mnie kłamać. Milczę. Nie umiem pacierza.
I tak już musi pozostać. Szatan się z nocą sprzymierzył,
Nakrył mnie złymi snami jak krzakiem cierpkiej tarniny.

Milcząca rzeka

Księżyc za most odpłynął.

Zastygła czarna rzeka.

Na baldachimie nieba z najciemniejszego granatu

Piasek gwiazd z czasu klepsydry.

Głębina.

W muszlach wieczność bezustannie, niezmiennie przecieka,

Woda jest ciemna, śliska i ciężka jak ołów;

Chciałem jej nabrać w dłonie i obmyć oczy,

Ale wodorosty oplotły mi palce –

– o jak zimne są, jak zimne są i ostre –

Poraniły mi ręce. Krew kroplami padała w głębie.

Pewno opadły na dno,

A tam zakwitły rozgwiazdy,

I różowo spłonęły korale.

Ręce – białe i ciche jak gołębie,

Nieruchome i strwożone jak gwiazdy.

Woda jest ciemna, śliska i ciężka jak ołów.

Twarde i ostre są wodorosty.

Księżyc odpłynął daleko.

Czemu tak złowroga i milcząca jesteś rzeko?

A przecież w srebrzysty czas nowiu

Śpiewałaś i szumiałaś najczulej,

Wtedy nawet krowy w powrocie z łęgów dworskich

Zdumione podnosiły ociekające pyski.

O jak czule, jak miękko śpiewałaś.

Oczyszczenie

Dymy idą po rzyskach. Wiatr w konarach szumi.
Wejźdźmy w mroczną głębinę, krzewy nas nie zranią.
Tak nieludzko jest cierpieć. Czarny leśny strumień
Porywa żółte liście. Głęb leśna – a za nią
Niebo ogniem objęte krwawo się dopala.
Noc wstaje ciemna. Ufaj. Z leśnego ukrycia
Czyjeś uparte oczy strzegą nas z oddali.
Czuję ich zimny połysk. Czyż weźmiemy z życia
Więcej niż ja z twej duszy zaczerpnąłem słowem
Co jak strumień bulgoce, wsiąka w ziemię parną
Z korzeni piach obmywa, by wypłynąć nocą
I czystsza jeszcze strugą. Między ciszą czarną
A naszą samotnością ostry krzyk puchaczy
Rozdziera na kawały noc ciężką od zdarzeń...
Podaj mi chłodne dłonie... Ustrzeż się rozpacz
Trwam przy Tobie milczący, ze spokojną twarzą.
Krew pulsuje mi w skroniach i dźwięczy miarowo,
Zwyciężyłem namiętność i zmysłom nie wierzę –
Jak ślepiec brnę na oślepej drodze przez ciebie mowa
Nieuchwytna, złowieszcza, jak lot nietoperzy.
Niech nas niebo nakryje i noc spełni do dna
Nim błady świt uderzy w bezlistne gałęzie –
Uwierz: zwierzętom tylko ścieżka niezawodna –
Nas zwodzi i wstrzymuje. Stopa w ziemi grzęźnie.
Stańmy więc. Jest w milczeniu ta chwila jedyna,
Której przeczuć nie można, aż uderzy nagle

W las fanfarami ogni. Wtedy wszystkie winy
Opadną z nas popiołem. Chmur wydęte żagle
Ku nieznanemu Bogu poniosą trofea
Klęsk naszych i upadków. Z spokojną żalobą
Nie pytaj skąd nadeszła i gdzie się poczęła...
Jest Bóg – a przed nim stoimy ja z Tobą.

Jeździec

Sny młodzieńcze, sny lunatyczne,
Wietrzne konie wiecznych Don-Kichotów,
Poprzez strofy wierszy patetycznych
Cwałujące tętentem podków!

Grzywy rude, ślepie roziskrzone,
Wzdęte chrapy wiatrem pulsujące,
Pyski w niebach tonące zielonych,
I księżycem w noc ociekające!

Kulbaczone niecofniętym rytmem
Spięte rymu kolącą ostrogą...
Czemu cienie już wasze olbrzymie
Obce gwiezdny bezdrożom i drogom?

Księżyc płynie bezkrwisty, nieżywy
Jak koncha na morzu widmowym...
... Gdzieście konie czarne rozwłóczyły
Martwe ciało jeźdźca bez głowy?

Śmierć i nędza

Stało się nieszczęście. Zdjęto go z wozu i złożono na nędznym barłogu w dusznej i ciemnej izbie. Bledszy od konopnej, rozchelstanej, skrwawionej na piersiach koszuli, leżał cicho i nieruchomo. Wypełniły izbę lamenty i płacze, skargi i żale. Dzieci w brudnych koszulinach, zbite trwożliwie, wtoczyły się w najciemniejszy kąt izby.

– Po doktora! –

Przywaliło go w lesie drzewo. Chłop charczał... świszczący oddech stawał się coraz szybszy. Krew smużkami oczerwieniła sine i zbladłe usta.

Wtykano mu pośpiesznie w rękę gromnicę...

Gdy przyjechał doktor, na tapczanie leżały wystygłe, szerniałe zwłoki. Płowe dziecko, zdziwione i trwożne, palcem wpychało w usta kęs czarnego chleba.

Śmierć zakuła ręce robocze.

Nadworze zieleniała wiosna i słońce pachniało napęczniałymi skibami chlebnej ziemi.

Drogą polną wieźli go na cmentarz. Za wozem szła pochlipując blada wdowa. Płowe dzieci przysiadły przy trumnie. Wyboistymi koleinami drogi życia przeszedł za furtek cmentarną człowiek.

Nędza ludzka jest zjawiskiem tak powszednim jak śmierć...

Leży przede mną reportaż z Brzezin pod Łodzią: „Miasto tragicznej legendy” (Kurier Poranny z dnia 21 marca 1937).

Nie ma on nic wspólnego z legendą. Jest zatrważająco realny. Brutalnie odsłania całą głębię prawdy tragicznej i niezrozumiałej. „Dlaczego ludzie pracujący od świtu do późnej nocy żyją w straszliwej nędzy i poniżeniu?”

Brzeziny są miastem krawców-chałupników.

Cyfry są przygniatające. Podam z nich tylko dwie: krawiec brzeziński pracuje 16-18 godzin na dobę zarabiając 183 gr.

A więc za jedną godzinę ciężkiej pracy 11 groszy.

Z tego trzeba „wyżyć”, opalić i oświetlić pracownię.

Praca zmechanizowana do ostatecznych granic.

Ludzie to tylko automaty robiące dziurki, prasujące, pochylone nad terkoczącą maszyną osiemnaście godzin. Dla pełniejszego obrazu warto by było poznać statystykę śmiertelności w Brzezinach. W Brzezinach śmierć jest pewno dobroczynną: przynosi wybawienie. Zresztą Brzeziny nie są, niestety, odosobnione. Kalwaryjscy stolarze wegetują podobnie.

Dlaczego tak właśnie jest? Inaczej na to pytanie odpowie gracz polityczny żerujący na namiętnościach tłumu, inaczej człowiek z sumieniem i sercem.

Pierwszy wskaże na strukturę społeczną jako na źródło nędzy, drugi widzi je w poszczególnych jednostce.

Dopóki człowiek miłością bliźniego nie przewycięży egoizmu, dopóki dobrowolnie nie wyrzeknie się wyzysku jako środka w osiągnięciu swych materialnych celów, dotąd będą krzywdziciele i krzywdzeni. Sprawiedliwości społecznej żadne pisane prawo obwarować nie może, dopóki nie zapewni jej prawo sumienia.

Nędzę ludzką przybraną w pstrokate szaty obnoszą różni ludzie po placach jarmarcznych, wsączając zjadliwą nienawiść w usta mowy ulicznej (ulotek), by szalała w niszczyielskim pochodzie.

Pod powłoką bohaterstwa noszą właściwe oblicze: chytrą maskę błazeńską.

Walczyć z nędzą muszą wszyscy w imię najwyższego dobra człowieka – ducha. Wszyscy muszą ponieść ofiary i poczynić ustępstwa.

Celem i hasłem rozwoju dziejowego współczesnego człowieka nie może być podstępna walka, lecz wyteżona, zbiorowa i skonsolidowana praca wszystkich, dla osiągnięcia równowagi między światem ducha a materii.

Wtedy miasta brzezińskich krawców i kalwaryjskich stolarzy staną się tylko legendą.

Młodość jest wrażliwa na nędzę i niedolę. Uczuciowego podejścia do tych bolesnych zagadnień nie przysyłają nam ideologie partyjne.

Każdy z nas stanie przy swym warsztacie pracy. Wszyscy posiadają równe prawa ludzkie. Jeśli przez pracę zakres ich rozszerzymy, naszym obowiązkiem jest niwelowanie wiekowych różnic społecznych, tak upokarzających godność ludzką, chociażby kosztem czasowego zastoju kultury materialnej, bo ludzie korzystający bezmyślnie z dobrodziejstw cywilizacji dla próżności i dumy własnej – tracą hart i moc ducha, tracą więc prawo do imienia Człowieka.

F. Łańcucki kl. III a

„Nasz Widnokrąg”, marzec-kwiecień 1937, z. 6-7



Feliks Łańcucki w wieku 10 lat



Krzemieniec. Fragment miasta

PRZEKŁADY

Iwan Franko

Kamieniarze

Śnił mi się dziwny sen. Widziałem jak przede mną
Płaszczyna była w krąg, ogromna, straszna, zła –
Pod skałą wielką tam, wysoką, stromą, ciemną
Przykuty stoję ja łańcuchem twardym – ze mną
Tysiące stoją też zakutych jak i ja.

Czoło każdego z nich życie i ból poryły,
A z każdej pary ocz miłości płomień tchnie.
I każdą parę rąk więzy jak gad owiły
I wszystkie plecy wraz ku ziemi się schyliły,
Bo wszystkich wielki trud i ciężar straszny gnie.

I każdy w dłoniach ma młot ciężki i żelazny,
A z góry silny głos, jak grom obwieszcza nam:
„Wciąż kruszcie skalny blok. Niech upał nieprzyjazny
Nie wstrzyma w pracy was – ni majak niewyraźny
Głodu i chłodu zwid. Los trud ten zlecił wam!”

Wszyscy jak jeden mąż unieśli w górę młoty
I tysiąc razy grzmi o kamień z wszystkich sił,
Na tysiąc różnych stron zamachy i obroty
Upartych naszych rąk w rytm wścieklej tej roboty,
Sieją odłamki skał, czoło im miażdżąc w pył.

Jak wodospadu skok, jak krwawej huk kurzawy,
Młoty huczały tak i grzmiały wciąż raz w raz –
Po piędzi wolno piędź zdobywał trud nasz prawy,
Chociaż niejeden z nas opłacał haracz krwawy,
Szliśmy uparcie wprzód, nic nie wstrzymało nas.

Z bolesnych trudów nam nie wzrosną laurów pędy,
Nie wspomną ludzie nas za tę daninę krwi,
A tłumy sunąć tu i płynąć będą tędy
Aż przebijemy szlak i wyrównamy wszędy,
Choć przyjdzie pod nim zgnić i kościom głucho tlić.

Ale w nas sławy tej pragnienie już nie gości,
Nie herosowie my wspaniali jak sam mit.
Nie – niewolnicy my. Zakuci ludzie prości.
Przyjęliśmy ten srom, sługamiśmy wolności,
Kamieniarzami my na drodze w jasny świt.

Wiara w nas jedna tli i drogę jaśnią maści,
Że w krwawym trudzie rąk w przeciągu wielu lat,
Opokę skruszyc w proch, a z białych naszych kości
Z czerwonej naszej krwi, z wysiłku codziennego
Twardy powstanie szlak – nim dobro spleynie w świat.

Wiedzieliśmy, że tam daleko gdzieś na świecie,
Jaki rzuciliśmy dla pracy w porę złą,
Za nami płyną łzy żon, matek, naszych dzieci,

A oburzony tłum, wrogowie w całym świecie
I nas i zamiar nasz i dzieło nasze klną.

Znane nam dobrze to i dusza w nas cierpiała,
Lecz ani łzy, ni żal, ni ból piekący ciała,
Ani przekleństwo złych nie mogły tego zdziałać,
By kamieniarski młot odrzucił ktoś z nas precz.

Tak i kroczyliśmy wciąż w gromadę wielką złani
Promiennym celem tym, a młoty w dłoniach tkwią.
Choćby przekłęci dziś i przez świat zapomniani,
Kruszymy skały moc, by inni spracowani
Posiedli szczęście swe, gdy nasze kości stlą.

Iwan Franko

Zielony jawor

Zielony jawor, zielony jawor,
Ale zieleńsza iwa.
Między wszystkimi oj dziewczętami
Jedna mi tylko miła.

Czerwona róża, czerwona róża,
Nad wszystkie kwiaty piękna,
Nie widzę róży, nie widzę róży
Tylko jej liczka hoże.

Złociste gwiazdy w niebieskim morzu,
Migocą pośród nocy,
Nad wszystkie gwiazdy w dole i w górze
Jej czarne płoną oczy.

Donośne dzwony, srebrzyste tony,
Tęsknota w nich spowita,
Ale jej dźwięczny głosik dziewczęcy
Zawsze za serce chwyta.

Szerokie morze, głębokie morze,
A drugi brzeg daleki,
Bezbrzeżna rozpacz wypełnia serce
Straciłem ją na wieki.

Niech kopie w ręku drżą,
Gdy spojrzę na ich twarze.
Niech kanclerz Twych rozległych ziem
Z godnością złoty ciężar ten
Nosi wśród innych brzemion.

Śpiewam jak wolny śpiewa ptak
W gęstwinie ponad wodą.
Piosenka gdy w gardziołku drga
Najwyższą mu nagrodą.
Lecz jeśli prosić wolno mi
Niechaj najlepsze wino lśni
W pucharze szczerozłotym”.

Wychylił puchar aż po dno:
„Napoju Ty wspaniały!
O niechaj szczęście spłynie w dom
Gdzie jesteś darem.
Niech błogość wstąpi za wasz próg,
Oby was tak nagroził Bóg,
Jak ja wam dziś dziękuję!”

H. Heine
aus „Neue Gedichte”

I.

Lekko pieśń w mej duszy drga,
Czułe płyną tony,
Dźwięcz wiosenna piosnko ma
Dźwięcz w dalekie strony.

Gdzie wśród kwiatów białych dom,
Zdążaj po kryjomu,
Różę bliską moim snom
Powitaj ode mnie.

II.

Błękitne oczy wiosny (Die Blauen Frühlingsaugen)

Błękitne oczy wiosny
Spojrzenie z trawy ślą;
To skromne, ciche fiołki,
Które me ręce rwą.
Zrywam je rozmarzony,
Uczucie, które mi
Wypełnia smutkiem serce,
W śpiewie słowika brzmi.
Ptak myśli moje rzuca,
Donośnie z pieśnią wraz.
Mą czułą tajemnicę,
Zna już calutki las.

E. Boratyński

* * *

O nie kuś znowu mnie daremnie,
Czułością, która w oczach lśni.
Raz zawiedzione zgasły we mnie
Jasne nadzieje przeszłych dni.

Ja już nie wierzę zapewnieniom,
Nie wierzę w czar miłosnych słów,
Raz rozbudzony nie chcę znów,
Sennym oddawać się marzeniom.

Ślepego smutku duszy mej
Nie zwiększaj obnażając rany.
I przyjaciela zatroskany
Nie trwóż mnie – cicho odejść chciej.

Słodkie przeszłości zapomnienie,
Rojenia ukryj w sercu swym,
Wzbudzając w duszy mej wzruszenie
Miłości nie obudzisz ty.

M. Lermontow

* * *

Odeszłaś, lecz jak zwiędły kwiat
Tak chronię miniaturkę Twą,
Jak blady odbłask lepszych lat
Raduje ona duszę mą.

Wśród nowych cierpień, smutnych dum,
Czyżbym rozłączyć się z nią mógł;
Tum opuszczony – zawsze tum,
Świątek wzgardzony – przecie bóg.

H. Heine
„Aus der Harzreise”
Prolog

Czarne fraki, sztywne gorsy,
Komplimenty, komunały,
Objęcia, śliczne –
Och, gdyby też serca miały!

Serca w piersi i uczucie –
Jak mnie nudzi i uśmierca
Uciążliwe zawodzenie
O zmyślonych bólach serca.

Ja wyruszyć pragnę w góry,
Gdzie się białe chatki chylą,
Gdzie swobodnie płuca dyszą,
Wolne wiatry przelatują.

Ja wyruszyć pragnę w góry,
Gdzie najczystsze strugi dzwonią,
Gdzie wysmukłe jodły szumią,
I wyniosłe chmury gonią.

Żegnajcie mi lśniące sale,
Piękne panie i panowie!
Z gór z uśmiechem patrzył będę
Na was spod zmrużonych powiek.



Feliks Łańcucki w wieku 20 lat



Krzemieniec. Fragment ogrodzenia Liceum Krzemienieckiego

NOTA EDYTORSKA

Podstawą wydania jest odbitka powielaczowa Feliksa Łańcucki, *Podwodne księżycy. Wybór wierszy*, Warszawa 1994, znajdująca się w zbiorach Muzeum Niepodległości w Warszawie. Ma ona cechy opracowania amatorskiego. Znalazły się w niej zarówno utwory publikowane za życia autora w krzemienieckim „Naszym Widnokręgu”, jak i niepublikowane, odtworzone najprawdopodobniej z rękopisów zachowanych przez rodzinę – Jana i Katarzynę Łańcuckich – i z listów Feliksa Łańcuckiego do Zofii Kozłowskiej-Jędrzejczyk. Podtytuł *Wybór wierszy* sugeruje, że osoby przygotowujące tomik dysponowały większą ich liczbą, dokonały wyboru, a więc niektóre odrzuciły.

Nie miałam dostępu do oryginałów. Istnieje uzasadnione podejrzenie, że oryginały niestety przepadły. Gdyby się to okazało nieprawdą, gdyby w przyszłości wychynęły z niebytu, tym większa będzie nasza wspólna radość.

Obecne wydanie zawiera wszystkie odnalezione wiersze Feliksa Łańcuckiego, także te, które wyszły w „Naszym Widnokręgu”, a nie trafiły do zbioru *Podwodne księżycy (Inżynier i Jodły czorsztyńskie)*. Wiersze datowane uporządkowałam zgodnie z chronologią ich powstania. Wiersze o niewiadomym czasie powstania zostały rozmieszczone według kryterium tematu i nastroju – arbitralnie, ale logicznie. Jedne z nich są najwyraźniej osadzone w realiach międzywojennego Krzemieńca, inne – zawierające już wyraźne motywy katastroficzne, nie tylko aluzje – należało usytuować po wierszu

„granicznym”; * * * *Tamta wiosna szumiła w drzewach...*,
opatrzonym datą 6 grudnia 1939 roku.

Co do wierszy już publikowanych, porównałam ich wersje z *Podwodnych księżyców* z tymi w „Naszym Widnokręgu”. Rozbieżności było sporo. Przeprowadziłam korektę, traktując jako poprawne – a tym samym wzorcowe – teksty z „Naszego Widnokręgu”, ponieważ były one przygotowane do druku przez samego autora.

Drobne poprawki, które wprowadziłam do wierszy niepublikowanych – przepisanych z oryginałów przez Jana i Katarzynę Łańcuckich i Zofię Kozłowską-Jędrzejczyk – dotyczą jedynie oczywistych błędów: literówek, pomyłek leksykalnych i rażących niezgodności z normami gramatyki czy ortografii.

Pisownia została uwspółcześniona tylko tam, gdzie to było konieczne. Na przykład w wierszu *Inżynier* pozostawiłam formy „lux-torpedy” i „żelazo-betony”, ze względu na urok anachronizmów. Zachowałam też – tam, gdzie występowała – wielką literę w zaimku „ty”. Łańcucki stosował ją najwyraźniej grzecznościowo i jakiegokolwiek „poprawianie” byłoby niezgodne z intencją autora i uwłaczałoby jego elegancji.

Nie ingerowałam w interpunkcję, poza sytuacjami, kiedy brak kropki czy przecinka lub też ich nadużycie pociągałyby za sobą błąd w składni. Pozostawiłam „nadprogramowe” przecinki i średniki poprzedzające myślnik, uwzględniając ich funkcję ekspresywną – żeby wiersz mógł odetchnąć przewidzianą przez autora dodatkową pauzą. Analiza znaków przestankowych utwierdza mnie bowiem w przekonaniu, że Łańcucki nie tylko słyszał swoje wiersze, lecz także

głośno je czytał. A w poezji – jak w muzyce – istotna jest równowaga między dźwiękiem i ciszą. Poeta miał również wyraźne upodobanie w myślniku. To pauza wydłużona – jak fermata.

Imiona (albo inicjały) i nazwiska autorów, a także tytuły wierszy przełożonych z ukraińskiego, niemieckiego i rosyjskiego zachowano w wersji pozostawionej przez tłumacza. Poprawiłam pojedyncze błędy językowe w wyrazach niemieckich i francuskich. Skorygowałam także ewidentne usterki w zapisie niektórych wierszy. W *Księżycu dzieciństwa* przywróciłam kształt graficzny w oparciu o wersję z „Naszego Widnokręgu”. W *Świątyniach* rozdzieliłam spacją dwie ostatnie „zrosnięte” zwrotki, aby ujednolicić układ stroficzny wiersza. W *Sonacie Księżycowej* dodałam, najwyraźniej pomyłkowo pominiętą, spację między tercynami – wiersz jest bowiem sonetem. Kolejność zwrotek w wierszu *Flety* jest zgodna z zamieszczoną w zbiorze numeracją. Samą numerację, zbędną z punktu widzenia sensu utworu, a zakłócającą estetykę zapisu – pominęłam.

Do zbioru poezji dołączam jedyny dostępny tekst prozatorski Feliksa Łańcuckiego, *Śmierć i nędza*. W ten sposób w tomiku znalazła się cała jego spuścizna.

Bożena Gorska



Krzemieniec. Szczyt góry Bony z ruinami zamku o zmierzchu



Krzemieniec. Widok miasta i Licium z góry Bony

ANEKS

Bożena Gorska

ROZBITA OKARYNA

Pamięci
Jana Łańcuckiego,
Katarzyny Łańcuckiej
i Zofii Kozłowskiej-Jędrzejczyk

Rozchyl tylko raz zasłonę
Z niewidzialnej bieli,
A zobaczysz taką stronę,
Od której wzrok dzieli.
Ręką, z ciała uwolnioną,
Tkniesz umarłej drżące łono,
Ciężką bramę pchniesz zamknioną
Mamertyńskiej celi.
[Jan Lechoń]

Habent sua fata libelli. Ten tomik poezji jest osobliwym debiutem – w siedemdziesiąt lat po śmierci autora. Co prawda już raz był przygotowywany do druku przed osiemnastu laty. Staraniem trzech osób: Jana Łańcuckiego, Katarzyny Łańcuckiej i Zofii Kozłowskiej-Jędrzejczyk. Dziś żadna nie żyje. I nie sposób dojść, jakie perypetie towarzyszyły ich zabiegom, które wydawnictwo książkę przyjęło – jeżeli w ogóle przyjęło – ani jaka była przyczyna zaniechania. Powielaczką amatorską odbitkę zbiorku – zawierającą oprócz wierszy profesjonalny szkic Katarzyny Łańcuckiej, notę biograficzną autorstwa Zofii Kozłowskiej-Jędrzejczyk i parę fotografii – ktoś umieścił wśród krzemienieckich pamiątek w Muzeum Niepodległości, a jej drugi egzemplarz – w Bibliotece Narodowej. Dzięki temu ocalały.

Miałam szczęście trafić na te wiersze i wszystko zaczęło się od zachwyty, bo to jest autentyczna poezja, zdumiewająco dojrzała, jeśli się zważy, że jej autor przeżył niespełna dwadzieścia trzy lata, a najwcześniejszy wiersz, co do daty którego jest pewność, napisał jako siedemnastolatek.

Feliks Łańcucki urodził się 29 maja 1919 roku w Żórawnie nad Dniestrem. Jego ojciec, Leopold, był nauczycielem matematyki. Matka, Maria z Reizerów, wychowywała dzieci. W Żórawnie znano i bardzo szanowano rodzinę Łańcuckich. A dzieci było sześcioro: Aleksander, Izabela, Tadeusz, Feliks, Jan i Zbigniew. Bardzo rodzinni, wspierający się wzajemnie w czasach pokoju, a jeszcze bardziej podczas dwóch okupacji. Dzielący polski kresowy los z wieloma mieszkańcami Podola i Wołynia. Tu warto wybiec w przeszłość, bo dzieje tego ro-

dzeństwa obrazują niemal symbolicznie związek między prywatną historią rodziny a wielką historią narodu.

Aleksander, pracownik poczty w Stryju, podczas wojny ofiarnie i z wielkim wysiłkiem, ryzykując życie, zdobywał dla rodziny żywność. Wywieziony na Sybir, nie powrócił.

Izabela, nauczycielka w szkołach w powiecie dubieńskim, uroczą, pełną radości życia kobietą, która w latach przedwojennych nie opuściła żadnego z corocznych balów dla inteligencji, organizowanych na zamku w Wiśniowcu, była absolwentką krzemienieckiego seminarium nauczycielskiego. Ósmy seminaryjny rocznik maturalny, 1929. Pierwszą pracę podjęła w wiejskiej szkole w Gradkach, w gminie Sudobicze. Starsza od Feliksa o osiem lat, zawsze mu matkowała. Jej ostatnią przedwojenną posadą na Kresach była szkoła w Trościańcu. Mąż Izabeli umarł w niemieckim oflagu. Ona sama cudem uniknęła śmierci z rąk banderowców. Pomógł Ukrainiec, który przewiózł ją z Trościańca do Dubna. W Dubnie pozostała aż do ekspatriacji. Osiedliła się w Solcu Kujawskim, gdzie była bardzo zaprzyjaźniona z bratową, wdową po Zbigniewie, Aleksandrą Łańcucką. Tam zmarła w 1989 roku i została pochowana na miejscowym cmentarzu.

Tadeusz zginął na Majdanku.

Jan został lekarzem, profesorem dermatologii. Mieszkał w Warszawie. Był ojcem Katarzyny.

Zbigniew umarł na gruźlicę niedługo po wojnie.

Najszczęśliwsze lata dziecięce i młodzieńcze Feliks Łańcucki spędził w Krzemieńcu. Liceum Krzemienieckie, gdzie

trafił, było szkołą niezwykle, fenomenem edukacyjnym lat międzywojennych, niedosiężnym ideałem, do którego nie dorosła później żadna szkoła ani w Polsce Ludowej, ani w dzisiejszej niepodległej Rzeczypospolitej. Założone w 1805 roku przez Tadeusza Czackiego i Hugona Kołłątaja pod nazwą Gimnazjum Wołyńskiego i reaktywowane w roku 1920 przez Marszałka Piłsudskiego, funkcjonowało do wybuchu drugiej wojny światowej. Kontynuując tradycję dziewiętnastowieczną, doborowa kadra pedagogiczna była nastawiona na kształcenie inteligencji – tej najbardziej świadomej i odpowiedzialnej warstwy narodu, która w przyszłości objęłaby przewodnictwo w organizowaniu życia całego regionu. Bardzo szybko Liceum stało się centrum kulturalnym Wołynia. Odzyskane po stu dwudziestu trzech latach niewoli Kresy zamieszkiwali Polacy, Ukraińcy, Żydzi, Ormianie, Czesi, Niemcy oraz przedstawiciele innych nacji. Koncepcja Piłsudskiego – budowania Rzeczypospolitej wielu narodów, na wzór jagiellońskiej – zakładała zgodną koegzystencję obywateli różnych narodowości, wyznań i kultur. Tej idei służył program wychowawczy Liceum. A program dydaktyczny wykorzystywał najnowocześniejsze światowe osiągnięcia, adaptując je stosownie do miejscowych warunków i potrzeb. Kompleks Liceum Krzemienieckiego obejmował między innymi gimnazja matematyczno-przyrodnicze i humanistyczne, powszechną szkołę ćwiczeń, a także seminarium nauczycielskie. Feliks Łańcucki był uczniem szkoły ćwiczeń, a potem gimnazjum.

Zofia Kozłowska-Jędrzejczyk tak wspomina po latach aureę miejsca, w jakim się znalazł: „Krzemieniec, miasteczko ma-

lowniczo położone wśród gór, owiane duchem Słowackiego, pełne tradycji i wspaniałych ludzi, wytwarzało szczególną i niepowtarzalną atmosferę. Liceum było szkołą, w której nie tylko kładziono nam do głów przedmioty objęte programem. Tam uczono nas kochać ludzi i własny kraj, udostępniano nam wszystkie dziedziny kultury i sztuki. Koncerty, teatr, wystawy plastyczne, wycieczki krajoznawcze, koła zainteresowań, wszystko to rozwijało młode umysły, a dla jednostek wrażliwych jak Feliks było natchnieniem i inspiracją do pracy nad sobą.”

W krzemienieckiej ćwiczeniówce Feliks chodził do klasy B – dla wybitnie zdolnych. Żeby się dostać do takiej klasy, dzieci zdawały konkursowy egzamin, który trwał tydzień.

Fizycznie drobny i wątłej budowy, był bardzo ambitny. Zwłaszcza chciał dorównać najlepszym w zajęciach sportowych. A że dziecięca pomysłowość nie ma granic, uczestniczył w dość niebezpiecznej i niekontrolowanej przez nauczycieli zabawie – skokach z wysokiego murku. I czynił to bez strachu.

Tę kruchość widać na fotografii nastolatka. Feliks był niepokojąco smukły. Pascalowska trzcina. Jak wyglądał? Całe rodzeństwo Łańcuckich wyróżniało się wysokim wzrostem i wielką urodą. Feliks był brunetem o niespotykanym ciemnoniebieskim, prawie granatowym, kolorze oczu. Oczy miały pyszną oprawę sobolich brwi i długich rzęs. Aż pytali niektórzy – po co takie rzęsy chłopcu? W jego rysach przyciągała uwagę niemal dziewczęca delikatność. A w zachowaniu – elegancja i wytworne maniere.

Miał piękne ręce i grał na skrzypcach. Zarówno on, jak i jego rodzeństwo byli muzykalni. Dom państwa Łańcuckich w Żórawnie rozbrzmiewał muzyką. Ojciec, zdolny skrzypek amator, nauczył dzieci i wprowadził zwyczaj rodzinnego muzykowania. A już prawdziwe koncerty uświetniały każdą Wigilię.

Chociaż z natury introwertyczny, Feliks bez trudu nawiązywał kontakty towarzyskie i przyjaźnie. W kręgu młodzieży cieszył się popularnością i miał niewątpliwy autorytet. Świadczy o tym chociażby fakt, że już podczas pierwszego zebrania Koła Dyskusyjno-Samokształceniowego został wybrany na sekretarza zarządu. A zachowany tekst prozatorski Łańcuckiego *Śmierć i nędza* jest dowodem wyjątkowej wrażliwości autora na ludzką krzywdę. Feliks był bardzo szlachetny. Wiązało się to z głęboką wiarą i autentycznie przeżywaną religijnością. Ta wyrazista cecha osobowości rzutowała na całą jego postawę moralną.

Literatura – szczególnie poezja – była jego miłością od zawsze. Młodzież licealna wydawała pismo „Nasz Widnokrąg”. W latach nauki Feliksa redakcją opiekował się polonista, profesor Kazimierz Groszyński. Nazwisko Łańcucki pojawiło się w stopce redakcyjnej już w roku 1935, w kwietniowym numerze. Oprócz „dorosłego” Komitetu Redakcyjnego istniał tam również Komitet Redakcyjny Działu Młodych. W „dorosłym” rej wodził, przygotowujący się właśnie do matury, Zygmunt Jan Rumel. Sekretarzem młodzieżowego był Feliks Łańcucki, uczeń drugiej klasy gimnazjum. Dzielili ich różnica czterech lat, a łączył talent poetycki. Obaj publikowali wiersze w „Na-

szym Widnokręgu”. Dwa lata później Feliks awansował na redaktora Głównego Komitetu Redakcyjnego i piastował tę funkcję do ostatniego numeru pisma, wydanego z datą marzec-kwiecień 1939.

Takich rozpoetyzowanych chłopców było w Krzemieńcu więcej. Najserdeczniejsi przyjaciele Feliksa, Paweł Hall i Ryszard Stachórski, także pozostawili tam swoje ślady. Koledzy żartobliwie nazywali Feliksa, Pawła i Ryszarda trzema wieszczami. Lubili się spotykać w parku albo w zaułku Bessera w licealnym ogrodzie i spędzać czas na czytaniu poezji – Staffa, Leśmiana, Wierzyńskiego – albo na prezentowaniu i poddawaniu krytyce własnych wierszy. Często towarzyszył im profesor Groszyński, animator dyskusji i niekwestionowany autorytet.

Zofia Kozłowska-Jędrzejczyk pisze w sposób ujmujący – ze ściszeniem tonu i dyskrecją: „Pierwsze próby poetyckie to wiersze drukowane w „Naszym Widnokręgu”. (...) Ostatnie – to przesyłane w listach do dziewczyny, z którą był związany uczuciowo...”. Właśnie ona była tą dziewczyną, ale to jej sekret. Subtelność niedopowiedzenia, zachowanie tajemnicy w sercu... Jakże daleko odbiegły nasze rozkrzyczane czasy od tamtej kultury.

Były więc przyjaźnie, była miłość, twórcza praca, radosne młodzieńcze życie, które zdruzgotał wrzesień 1939 roku. Liceum Krzemienieckie przestało istnieć. Feliks uczył się jeszcze w szkole polskiej typu sowieckiego. Jej zaletą było to, że wykładali tam polscy przedwojenni profesorowie gimnazjalni. Ale wokół trwała agonია świata. Do tragedii, jaką przyniosły Pola-

kom na Kresach dwie okupacje, doszły prywatne nieszczęścia. Na przełomie roku 1939 i 1940 spadł na rodzinę cios – umarła ukochana matka, którą dzieci adorowały w szczególny sposób. Wkrótce potem brat Aleksander został wywieziony na Sybir. Także w tym czasie ujawniła się u Feliksa gruźlica płuc. W wojennych warunkach trudno byłoby mówić o skuteczności jakiegokolwiek leczenia. Ostatnie miesiące życia, kiedy najbardziej potrzebował troskliwej opieki, spędził Feliks w domu siostry Izabeli w Trościańcu. Jak pisze Zofia Kozłowska-Jędrzejczyk: „gaś powoli i cicho”.

Umarł w szpitalu w Dubnie 6 lutego 1942 roku i na dubieńskim cmentarzu został pochowany. Aleksandra Łańcucka wspomina dramatyczne okoliczności jego pogrzebu: srogą zimę z trzydziestostopniowym mrozem, trud zdobycia desek na trumnę i przewiezienie na cmentarz wozem jakiegoś pocziwego Ukraińca.

Twórczość poetycka Feliksa Łańcuckiego zamyka się w datach: marzec 1937 – lato 1941. Czy pisał jeszcze w ostatnim półroczu życia? Nie wiadomo. Dojrzała forma paru niedatowanych wierszy sugeruje, że mogły one powstać właśnie wtedy, ale pewności nie ma. Pierwsze trzy utwory opublikowane w „Naszym Widnokregu” do maja 1937 roku – *Inżynier*, *Nokturn* i *Dusza* – aczkolwiek zawierają interesujące metafory i są dobrym prognostykiem – mieszczą się w krzemienieckiej licealnej „normie” i nie odbiegają za bardzo od chłopięcego poezjowania kolegów. Są nie tyle własną ekspresją, ile raczej dowodem wyobraźni, wrażliwości na słowo i... solidności profesora Groszyńskiego w nauczaniu literatury. *Inżynier* zdradza

pewne powinowactwo z Awangardą Krakowską i pobrząkuje hasłem: „Miasto. Masa. Maszyna”, *Nokturn* jest osadzony w tradycji młodopolskiej, a *Dusza* – zanurzona w Kasprowiczu.

W ciągu ośmiu miesięcy po tych pierwszych próbach w twórczości Łańcuckiego nastąpił skokowy rozwój. Począwszy od *Akwareli* można już mówić o dojrzałej poezji. Jest ona autentyczną własną wypowiedzią liryczną, niezależną od uprawianego przez młodzieńców z „Naszego Widnokręgu” naśladownictwa współczesnych poetów czy nurtu patriotyczno-patetycznego. Nawet jeżeli w przyszłości sięgnie Łańcucki do tematyki patriotycznej i „udrapuje ją patosem” – tak się przecież stanie w wierszu zaczynającym się słowami: *Księżyc błyszczy w gotyckim nieba ostrołuku...* – uczyni to z bogatszym doświadczeniem warsztatowym – i po swojemu. Tak więc od stycznia 1938 roku do lata roku 1941 rozwijała się oryginalna poezja Feliksa Łańcuckiego. Trzy i pół roku zaledwie. To pewnie sporo dla wytrawnego poety. A dla kogoś, kto dopiero terminował w literackim rzemiośle i budował swój warsztat? Jak wykorzystał ten czas? Czy ponagliła go świadomość własnej kruchości, a potem nieuleczalnej choroby?

Już od pierwszego kontaktu z jego wierszami zauważa się intensywną zmysłowość kreowanego świata poetyckiego. Nic nie wiadomo o zdolnościach plastycznych Feliksa, ale jego wiersze pozwalają się domyślać zarówno wielkiej wrażliwości na piękno, jak i poważnych zainteresowań sztuką. Często ich tematem jest uroda świata. W nieograniczonej przestrzeni poetyckiego Wołynia króluje natura. Jej bo-

gactwo jest niewiarygodne, kiedy się pomyśli, że tę garstkę wierszy zamieszkuje tak wiele stworzeń. W bestiariusz Łańcuckiego znajdziemy słowika, kosa, wilgę, jaskółkę, wróbla, puchacza, szpaka, koguta – i nienazwane ptaki. Jelenia, sarnę i nietoperze w lasach. Bąki, ćmy, pszczoły i świerszcze na łąkach. Ryby i żaby w wodach. Człowiekowi towarzyszą konie, krowy, owce, psy, koty i... szczury. Mól i pająk dzielą z nim siedzibę. Są tu jeszcze: małpka, hipopotam, wiewiórka, pająk, paw, rybka – ozdoby na choince. Dziecięcy świat w pudełku. No i zwierzęta przywołane jako symbole. Starotestamentowy i nowotestamentowy – gołębica i ryba. A skoro jest fauna – to i flora. A więc drzewa: wierzba, topola, jabłoń, brzoza, jodła, klon, sosna, kasztan i cyprys, który się przybłąkał z greckim teatrem. Za nimi krzewy: tarnina, leszczyna, jaśmin, bez, kalina. Kipiące bujną trawą ukwiecone łąki. Rośliny nadwodne i wodne: sitowie, nenufary, wodorosty. Przecież to kosmos. Raj dnia siódmego. Raj bardzo kolorowy. Paleta barw w wierszach Łańcuckiego jest bogata. Da się uporządkować według hierarchii kolorów. Króluje niebieski we wszystkich możliwych odcieniach: granat, ciemnoniebieski, modry, błękit, jasnoniebieski, bławy. Zaraz po nim – srebrny i srebrzysty. Z połyskiem, ze lśnieniem. Zielony i seledynowy. Czerwony i różowy. Czarny. Żółty i złocisty. Potem dopiero biały, szary, lila. I pojedynczo występujące kolory łączone: słoneczno-miodowy, rdzawo-żółty, błękitno-żółty, brązowo-smagły, płowo-żółty, świetlisto-rdzawy. Przeważają tony ciemne, co wiąże się z faktem, że Feliks szczególnie ukochał noc i wieczór. Spośród czterdziestu

trzech wierszy dwanaście to nokturny, a w jedenastu tłem dla sytuacji lirycznej jest zmierzch.

Świat natury w wierszach Łańcuckiego jest zarazem autentyczny i wykreowany. Kontakt z tym rzeczywistym leczy cierpienia duszy – tak się dzieje w *Jabłoni*, w wierszach *Tamta wiosna szumiła w drzewach...* i *Przyjaciele! To ku nam właśnie wybiegły wzgórze...* czy w *Wołyniu*. Znamiona autentycznego opisu mają *Ulica Miodowa w Krzemieńcu*, *Ulewa* i *Południe* – wiersze tworzące kompozycyjny dyptyk, zbudowany na opozycji: ruch-spokój, dynamizm-statyczność. Oba są bardzo „malarzkie”, a raczej przypominają różniące się tempem sekwencje filmowe. W kierunku świata sztuki – nie tylko z powodu tematu – zmierzają *Akwarela*, *Martwa natura* i *Chwile*. Ich osnowa pochodzi z rzeczywistości, ale wątek jest kreacją. Czym są w istocie wiersze Łańcuckiego, pozorujące opisy przyrody?

Feliks Łańcucki był zakorzeniony zarówno w kulturze, jak i w naturze – w tradycji historycznej i literackiej oraz w rodzimym kresowym pejzażu. Kulturę wymieniam jako pierwszą, bo to ona wpływa na sposób odczuwania natury. A więc najpierw był Słowacki, ten jedyny, o którym się pisze Poeta. A zaraz potem – Czacki. To do niego zwraca się Łańcucki w *Sonacie Księżycowej*: „miniemy Tadeuszu ostatnie latarnie (...) Będziemy długo błędzić przez puste ulice”, to z nim szuka braterstwa ponad czasem:

Sonate Księżycową ktoś gra na pianinie,
Więc łaska niespodziana strugą tonów płynie
Ku nam – dalekim sobie – a bliskim wieczności.

Jeżeli się pomyśli, że Czacki umarł w Dubnie 8 lutego (1813 roku), a Łańcucki też w Dubnie, 6 lutego – a więc obaj w tym samym miejscu na ziemi i o tej samej porze roku przeszli do wieczności – ten wiersz o tajemnym powinowactwie zaskakuje dziwnym profetyzmem.

Najpierw także było Żórawno, którego wspomnienie powraca chociażby w słowach: „a w Dniestrze utonęło dzieciństwo moje”, a potem – Krzemieniec i okolice. Pełno ich – wystarczy wymienić *Księżyc dzieciństwa*, gdzie „płatki utonęły w mule odległej Ikwy”, *Ulicę Miodową w Krzemieńcu. Ulewę, Południe, Martwą naturę* – dedykowaną licealnemu profesorowi rysunków, malarzowi Konstantemu Tiuninowi, *Chwile* – dedykowane Pawłowi Hallowi, *Wołyn*, który „błękitnieje mgłą niebieskawą”, *Ucieczkę z miasta*, a w niej bolesne rozstanie: „Żegnaj i przebac mi miasto!”, *Ciszę muzyczną* czy wiersz zaczynający się zdaniem *Jeszcze się błady uśmiech na Twojej twarzy błąka...*, przywołujący radość dawnych wakacji: „pamiętasz barwne kwiaty na nadikwiańskich łąkach”. Aczkolwiek poezja Łańcuckiego jest mocno osadzona w realiach i odwołuje się do konkretnych rozpoznawalnych miejsc, nie zaryzykowałabym stwierdzenia, że „opiewa” ona uroki kresowej ziemi. Bowiem pejzaż jest dla poety źródłem emocji, a także magazynem środków ekspresji, z którego czerpie motywy i przekształca je w taki sposób, żeby wyrażały jego samego. Łańcucki „malując” pejzaż – tworzy autoportret. Podobnie w jego wierszach nie znajdzie się dosłownego świadectwa wydarzeń biograficznych i historycznych. Są one przeżywane „do wewnątrz”, a uobecnione w metaforach. Po drodze ulegają takiemu przeobrażeniu, że sam impuls bywa nie-

rozpoznawalny. To, co zewnętrzne, niezależnie od swojej mocy, nie dotyka „ja” lirycznego. Proces „przekładania” emocji autor-
skich na wiersz jest nieuchwytny. A powstała forma poetycka nie
ma już nic wspólnego z tak zwaną „otaczającą rzeczywistością”.

Wyrazistą cechą poezji Łańcuckiego jest muzyczność. Mam tu na myśli nie tylko jej oznaki zewnętrzne – aczkolwiek świat poetycki Feliksa pełen jest dźwięków: szumu i szelestu drzew, bulgotu, łoskotu i śpiewu wody, ptasich gwizdów, „perlenia” i piania, świru świerszczy, a w wyszukanych metaforach „pęknięta dusza skrzypiec (...) zmarła w wiolinie”, „świt biały trzepoce muzyczną ciszą”, a „rozbitą słoneczną okarynę” żegna się słowami: „jak ty umilkły przeszłe miesiące i lata, / Nieczułe są i śmieszne jak kawałek gliny.” I mnóstwo w nim instrumentów – potraktowanych „przedmiotowo” jako elementy obrazu poetyckiego albo metaforycznie – skrzypce, pianino, flet i fletnie, gong, bęben, fanfary, okaryna, lutnia.

Muzyczne jest u Łańcuckiego brzmienie frazy wiersza, dźwięk słów, które ją budują, ich połączenie, rytm, operowanie pauzą. Już wczesny wiersz *Dusza*, bardzo „młodopolski”, ma wyraźny rytm – walca. Melodyjność, a nawet śpiewność frazy udoskonali się z czasem. Tak oto „śpiewa” dojrzała w formie *Tarnina*:

Dziś powróciłem nad rzekę. Wystarczy przeleźć przez płot,
Który się nawet pochylił, i poprzez gęste wikliny
Przedrzeć się miękko jak kot – a nie wiadomo skąd –
Krzaki, urwisko i granatowy owoc tarniny.

Pieśniowo także – z dramatycznie rozbudowaną przedostatnią frazą i skróconą ostatnią – brzmi fragment innego wiersza:

W tę noc myślałem o Tobie –
Śnieg padał wielkimi płatami.
Strach w rozszerzone źrenice
Zastygłe palce wtykał.
Myślałem: czy ziemia przecięta srebrnymi szynami
W noce oddycha.

Przykłady można by mnożyć, jednak nie sposób w krótkim szkicu zająć się tym szczegółowo. W te utwory trzeba się wczytywać wiele razy, słuchać ich melodii, obcować z nimi – najlepiej w czytaniu głośnym.

Rytm wierszy Łańcuckiego, przeważnie regularny, często wyłamuje się z regularności nadmiernej, grożącej „katarynką”. Takie drobne zakłócenia wychodzą mu na dobre. Jak tutaj:

Przez płowe włosy, przez lata
Bujną przestrzenią wiało,
A dziś tak ciężko przygniata
Znużone ciało.

Sytuacja jest inna, kiedy forma narzuca ścisły rygor. Respektuje go Łańcucki w tłumaczeniach, na przykład w dwóch wierszach Heinego z tomu *Neue Gedichte*. Oba pochodzą z cyklu *Nowa wiosna* powstałego na zamówienie kompozy-

tora Alberta Methfessela i od początku miały być tekstami pieśni. Translator zachował metrum oryginałów.

Z ograniczeniami formalnymi musi się także liczyć poeta sięgający po sonet. W spuściźnie Feliksa zachowały się trzy sonety. Świadczą o doskonałym, na mistrzowskim poziomie, opanowaniu formy. Innym dowodem umiejętności warsztatowych jest *Fryz*, napisany polskim heksametrem.

Poezja Feliksa Łańcuckiego niezależnie od tematyki pojedynczych utworów ma jeden wielki temat – czasem widoczny na powierzchni, czasem głębiej ukryty – doświadczenia egzystencjalne. Dotyka fundamentalnych dla człowieka spraw: cierpienia, miłości, wiary, sensu istnienia i umierania. Waler jego wierszy – tak bardzo prywatnych, introwertycznych – to uniwersalność. Im bliższa wnętrza mówiącego jest wypowiedź, tym bardziej dotyczy wszystkich, których połączyła ludzka kondycja, ludzki los. Wiersze Łańcuckiego są czystą liryką – w sensie nieledwie chemicznym „wysublimowaną”. Nie ma w nich nawet pokus epickiej dosłowności.

Kim jest „ja” liryczne z wierszy Łańcuckiego? Jaka to osobowość? Młodzieniec z żalem oglądający się wstecz za utraconym rajem. Zdumiewający jest pod tym względem wiersz *W lustrze*, napisany przez dziewiętnastoletniego zaledwie autora. Zaskakuje przedwczesnym „postarzeniem” bohatera, który „nad rzeką dzieciństwa” ogląda w wodzie swoją twarz i widzi tylko „zmarszczki i zarost”. To znakomity wiersz o doskonałej formie poetyckiej, jakby echo Mickiewiczowskiego *Polaty się tży*. Tren oplakujący „proporczyki szumiące wiarą” i „straconą młodość”.

Mitologizacja dzieciństwa jako najszczęśliwszej pory życia i smutek „wieku klęski” – nawet jeżeli przypada on na czas bujnej młodości – to wątek odziedziczony po modernizmie, a silnie uobecniający się w poezji ekspresjonistycznej. U Łańcuckiego występuje także w *Księżycu dzieciństwa* i *Rybce na choince*. A *Jeźdźcem* żegna on lata chłopięce, ich nieśmiertelną lekturę – ktoś wtedy nie czytał *Jeźdźca bez głowy* Reida! – ale także młodzieńcze marzenia, idealizm, donkiszoterię. I pierwsze próby twórcze, z ich odwagą i rozmachem, kiedy to rytm się nie cofał, a rym dyktował tempo.

Cierpienie wtajemnicza w dojrzałość. Dwudziestoletni jubilat zastanawia się, ile ma czasu przed sobą i próbuje sporządzić bilans: „Lat dwadzieścia – / Życia trzecia część – połowa”. Kruchość ciała daje o sobie znać w nieoczekiwanych momentach. W tym samym, tylko na pozór pogodnym, wierszu „urodzinowym” przed banalnym wyrażeniem „cenne zdrowie” pada niepasujące do kontekstu słowo: „kłuje”. Sygnały bólu fizycznego są wyraźne w wierszu *Przed burzą*:

Serce jak ryba w jeziorze
Gwałtownie w piersi się rzuca:
Zawsze sercu za mało ciszy
I oddechu za mało płucom.

A także we *Wczesnej wiosnie*: „Tak mnie wiosna osłabia i jasność tak męczy” czy w *Lilianie*: „ucisz chore serce”. Jednak bardziej dotkliwe jest cierpienie ducha. Warto zwrócić uwagę na erotyk *Bajka o śniegu strzelistym*, ze względu na subtelność

kamuflażu złych wieści. Chłopiec czeka na odwiedzinę ukochanej. O czym będą ze sobą rozmawiać? „Musi przecież być jasno, miękko, cicho, radośnie”. Tak właśnie ma być „na me ciche odejście, na czarowne Twe przyjście”. On już wie coś, czego ona nie wie. „Na me ciche odejście...” Dla niej – zimowa bajka. Prawda – dla niego.

Tomik Łańcuckiego zawiera osiem erotyków. Oprócz wspomnianego, są nimi jeszcze: *Akwarela*, *W tę noc myślałem o Tobie...*, *Cisza muzyczna*, *Jeszcze się błędy uśmiech na Twojej twarzy błąka...*, *Wszystkie twarze odpłyną, wszystkie zgasną pejzaże...*, *Oczyszczenie i Liliana*. Wszystkie piękne. Wszystkie z nutą melancholii, jak tutaj:

Tobie złoto jesieni – mnie śpiew zabłąkany
W mroczne uliczki uśpionego miasta.
Tobie owoc z kaliny – nade mną wyrasta
Noc upierzona sowy krzykiem szklanym.

„Ty pójdziesz górą – a ja doliną...” Jakby ta miłość od początku skazana była na katastrofę i niespełnienie:

Tęsknota w wózkach zepchnięta
Na ślepe bocznicę torów
Kłębi się, rośnie i szumi...
Miłością bez sensu i racji.

Chociaż kiedy „wszystkie twarze odpłyną, wszystkie zgasną pejzaże”, pozostanie tylko ta twarz i jedno imię. Czy na pewno jedno?

Izabello, Zofio, Amelio, Joanno,
Krystyno, Lucyno – jasna wodna panno.
Z duszy, mrocznej dżungli ścieżynami wspomnień
W tropikalne noce przychodząca do mnie.

Ten erotyk to po trosze marzenie, po trosze gorzki żart. Czyżby pożegnanie wszystkich kobiet, które były, a raczej mogły być? Katalog Don Juana? Tyle imion – ale nazywa się nimi tę samą. Bo ona jest wszystkimi naraz – wcieleniem kobiecości. Gorączka choroby i sny w gorączce. I jeszcze kajet gimnazjalisty, a w nim ta jedyna – jak „Złota Legenda” ledwie rozpoczętego życia.

Temat wiary obecny jest w wierszach Łańcuckiego porzucając od pierwszych prób – *Nokturnu* i *Duszy*. Już tam występują motywy serdecznego zmagania, wadzenia się z Bogiem i poszukiwania Boskiego Oblicza na rozgwieżdżonym niebie. Wiara przeplata się ze zwątpieniem. Ale bohater Łańcuckiego – jak ten z sonetu Sępa-Szarzyńskiego, „wąty, niebaczny, rozdwojony w sobie”, podatny na kuszenie zła – tęskni za dobrem, pragnie pokrzepienia pewnością i chce mieć udział w harmonii świata, z nią współbrzmieć. Stworzyć „nocy symfonię”, a dysponuje tylko „niezgodnym instrumentem”, bo jego wysiłki niweczy „pęknięta dusza skrzypiec”. Piękna, wyrafinowana metafora. Duszą w skrzypcach nazywa się drobny element we wnętrzu instrumentu, podpórkę umieszczoną pod podstawkiem. Jest niewidoczna, ale to ona przenosi drgania na spód pudła rezonansowego.

Blaise Pascal napisał: „Niechaj człowiek przyjrzy się naturze w jej wzniosłym i pełnym majestacie, niech oddali wzrok od niskich przedmiotów, które go otaczają.” Feliks Łańcucki się przyglądał. Niekiedy odnajdywał podobieństwo losu. Na przykład człowieka i drzewa – jak w *Jodłach czorsztyńskich*:

O smukło chwiejne maszty, żagle zielone – wam stromym
Potokiem na wody Dunajca – świtem pienińskim spłynąć!

Siekiera słońca skwarem w wilgotne pnie uderza,
Nocą, pod piłą księżycy niktące skrzypią godziny,
Spod rdzawej kory wiatrem rozszczepionego pancerza
Proszy srebrzysty piasek – pachnące żywicą trociny.

Niekiedy zazdrościł drzewom witalności i siły – jak w *Prośbie do lasu*, albo „obrzędu owocowania i bujnej długowieczności” – jak w *Jabłoni*.

Nadzieję na niepojętą dla rozumu, ale realną w innej rzeczywistości, przemianę cielesnego w duchowe zawarł w *Podwodnych księżycach*:

Dokąd uniesiesz trwogę? i serce odpłynie którądy?
Nabrzmiałe treścią namiętą, a już nie twoje więzienie.

Nieznaney przygody obecność – poznania bolesny spokój
Wieczną harmonią światła, półpłaszczyzn barw i cieni,
Gdy błądy seledynem księżycy zapłoną o zmroku,
Połączysz w nowych kształtach, których już czas nie zmieni.

Ten uczeń Pascala po wielokroć przeżywał dramat zwątpienia, a nawet popadał w ciemności niewiary. „Ja” lirycznemu z wiersza *Świątynie* bliżej do Boga pod kopułą nieba niż w kościelnym wnętrzu:

Żywicy woń wibruje
Dławi mnie i przeraża
Pusta w świątyniach naszych
Kamienny chłód ołtarza.

„Proporczyki szumiące wiarą” zostały zagubione, a jednak – paradoksalnie – wiersz *W lustrze* kończy się modlitwą o ratunek:

O Boże! Boże dzieciństwa
Wietrze i wodo!
Wróćcie mi niebo jasne –
Straconą młodość!

Najbardziej wstrząsa *Tarnina*. W półsennej wizji nawiedza bohatera matka. Zasmucona, przypomina synowi o pacierzu. Na to pada jego odpowiedź:

O, matko! Pomódl się za mnie. Przebacz. Nie z mojej winy.
Nie nauczyłaś mnie kłamać. Milczę. Nie umiem pacierza.
I tak już musi pozostać. Szatan się z nocą sprzymierzył,
Nakrył mnie złymi snami jak krzakiem cierpkiej tarniny.

Co znaczą te słowa wypowiedziane przez kogoś, kto przecież zna frazeologizm: „umieć coś jak pacierz”? Może to, że zdarzają

się w życiu takie ciosy, tak porażający ból i taki żal zbuntowanej duszy do Boga, że człowiek zapomina słów pacierza. Udręczonemu, proszącemu jednak o modlitwę, chciałoby się odpowiedzieć słowami Pascala: „Pociesz się, nie szukałbyś Mnie, gdybyś już Mnie nie znalazł.”

Najbardziej Pascalowski w zbiorze Łańcuckiego jest wiersz *Oczyszczenie*. Erotyk, ale znacznie bogatszy treściowo niż bywają erotyki. Gdyby sięgnąć do Pascala, należałoby powiedzieć, że tematem utworu jest „wojna domowa w człowieku między rozumem a namiętnościami”. Słowa skierowane do ukochanej:

Zwyciężyłem namiętność i zmysłom nie wierzę – (...)
Uwierz: zwierzętom tylko ścieżka niezawodna –
Nas zwodzi i wstrzymuje. Stopa w ziemi grzęźnie.
Stańmy więc...

są jakby echem Pascalowskiego: „Wielkość człowieka jest tak widoczna, iż wyłania się nawet z jego nędzy. To bowiem, co jest naturą u zwierząt, u człowieka nazywamy to nędzą; przez co uznajemy, iż jeśli natura jego jest dziś podobna naturze zwierząt, osunął się w nią z lepszej natury, która mu była właściwa niegdyś. (...) Człowiek wie, że jest nędzny; jest tedy nędzny, skoro nim jest; ale jest wielki, skoro wie o tym.”

Tylko człowiek ma wybór. Może wybrać klęskę i upadek, ale czy musi? „Czyjeś uparte oczy strzegą nas z oddali.” Oczy ukrytego Boga. Pascal dopowiedziałby: „To, co widzimy w świecie, nie wskazuje ani zupełnego braku, ani jawnej

obecności bóstwa, ale obecność Boga, który się ukrywa.” A Łańcucki mówi wprost: „Jest Bóg – a przed nim stoimy ja z Tobą.”

Feliks miał dwóch starszych braci w poezji: Trakla i Lieberta. Dwudziestosiedmioletni Austriak, Georg Trakl, umarł cztery i pół roku przed narodzinami Łańcuckiego. Kiedy odszedł dwudziestosiedmioletni Jerzy Liebert, Feliks właśnie skończył dwanaście lat.

Traklowski typ ekspresjonizmu, z wyraźnym rysem katastroficznym, odnajduje się u Łańcuckiego w *Tarninie*, w *Milczącej rzece*, w wierszu *W lustrze*, w *Księżycu dzieciństwa*, w *Podwodnych księżycach*, w wierszu z incipitem *Tu tylko cisza zachodu...*, w *Chwilach*, w *Ciszy muzycznej*. A temat *Podwodnych księżyców* przywodzi na myśl jeszcze jednego ekspresjonistę, rówieśnika Trakla, Georga Heyma, z jego obsesją topielców – jak się miało okazać profetyczną, bowiem dwudziestoczteroletni poeta i jego przyjaciel utonęli podczas jazdy na łyżwach, kiedy załamał się pod nimi lód na Haweli. Trzeba jednak dodać, że estetyka wiersza Łańcuckiego różni się od Heymowskiej. Opisy topielców u Heyma są drastycznie naturalistyczne. W *Podwodnych księżycach* nie tylko nie ma ohydy, ale jest... elegancja. Topielec przekształca się w formy roślinne, zmienia postać: „Z uwiedłych gałęzi – ramion zielone wytrysną pędy,/ Jak czule dno cię przyciągnie, jak mocno wrosną korzenie”. Przeobrazi się w kształt niezniszczalny. Czy chodzi o przekształcenie fizyczne, czy może o przejście w formę duchowego istnienia w wieczności – nie wiadomo. Tłumaczenie metafory nie ma sensu.

Feliks mógł poznać wiersze Trakla chociażby w przekładach publikowanych w „Drodze” (wychodziła w latach 1922-1937) i w „Okolicy Poetów” (1935-1939). A Heyma mógł znać z trudno, ale jednak osiągalnych w Polsce przekładów z lat pierwszej wojny światowej. Niewykluczone, że miał dostęp i do oryginałów, bo język niemiecki znał, a zasoby krzemienieckiej biblioteki licealnej były niewiarygodnie bogate. Ale równie dobrze mógł o Traklu nigdy nie słyszeć. Nie zamierzam doszukiwać się w utworach Łańcuckiego jakichkolwiek wpływów czy naśladownictwa. Moje rozważania dotyczą jedynie szerokiego kontekstu kulturowego. Klimat Traklowski wyczuwa się u Łańcuckiego, jakby obu poetów cechowała pokrewna wrażliwość. Natomiast metaforyka wierszy Feliksa – efekt „przekładu” emocji na język – jest całkowicie oryginalna.

Badacze twórczości Georga Trakla sporządzili rejestr motywów o randze symboli, występujących ze znaczącą częstotliwością w jego wierszach. Ciekawe, że w wierszach Łańcuckiego znajdzie się wiele Traklowskich motywów-symboli. Jednak występują w nieco innym porządku. Z rejestru Traklowskiego najczęściej powracającym motywem jest u Łańcuckiego rozpad-upadek-zatrata. Pojawia się aż w dwudziestu siedmiu wierszach. Niepodważalny dowód pozwalający nazwać poetę katastrofistą. Kolejne wielokrotnie powtarzane motywy Traklowskie to – zgodnie z ich hierarchią w wierszach Feliksa – niebieski, niebo, noc, srebrny, wiatr, milczenie i cisza, pieśń i śpiew, stary i dawny, księżyc, zielony, słońce, ciemny i mroczny, liść i listowie, okno, gwiazda, ogień i płomień, woda, złoty,

czarny, wieczór, cień, kamień i skała, las, miasto, czerwony, krew, lato, wiosna, zmierzch. Literaturoznawcy osobno wyodrębnili w poezji Trakla motywy dotyczące świata osobowego. Ich porządek według częstotliwości użycia przez Łańcuckiego jest następujący: sen i marzenie – w czternastu wierszach, co pozwala mówić o rysie onirycznym tej poezji. A następnie: oblicze i twarz, oko, człowiek i ludzie, kochankowie, serce, smutek, dziecko, samotnik, śmierć, usta, Bóg, głowa. Rejestr Łańcuckiego zawiera sporo motywów użytych przez Trakla, ale oczywiście nie wszystkie. Ponadto w wierszach Feliksa są też inne, charakterystyczne dla niego. Na przykład drzewa – motyw obecny w siedemnastu lirykach. Albo rzeka – w trzynastu. A co do świata osobowego – panuje u Łańcuckiego istna obsesja rąk. Ręce – także palce, dłonie, ramiona – występują w dwudziestu czterech wierszach. Dwa inne znaczące motywy to cierpiący i ciało.

Słownik powtarzalnych motywów pomaga zrozumieć zbudowany przez Łańcuckiego świat poetycki i ujrzeć jego lirykę jako tworzoną konsekwentnie systemową całość. Oczywiście, w tym śledzeniu słów-kluczy nie wolno nadmiernie ufać liczbie i mnogości. Na przykład hasło matka w ogóle nie znalazło się w rejestrze, bowiem występuje tylko raz, w *Tarninie*, wierszu bardzo Traklowskim, wizyjnym, onirycznym, ekspresyjnym i wstrząsającym wyznaniem utraty wiary. A przecież jest to jeden z najważniejszych i najpiękniejszych utworów poety.

Feliks Łańcucki był wyraźnie zafascynowany poezją Lieberta. Wiersz zaczynający się słowami: *Jeszcze się błądy*

uśmiech na Twojej twarzy błąka... opatrzył mottem z jego *Zmęczenia*. Dwóm wierszom dał Liebertowskie tytuły: *Madonna Liryczna* (spolszczona *Madonna Lyrica*) i *Jeździec*. W *Madonnie Lirycznej* odnajduje się podobny motyw. *Jeździec* Łańcuckiego nie ma z Liebertowym nic wspólnego. Natomiast dialog z Liebertem prowadzi Feliks w *Jodłach czorsztyńskich* i w *Prośbie do lasu* – słyhać tu echa *Kołysanki jodłowej* i *Gorzkich wiórów*, choć na pewno to nie jest naśladownictwo. Obaj poeci koncentrowali się na tematyce egzystencjalnej, szczególnie na przeżywaniu miłości i wiary. Czy to właśnie Liebert był mistrzem Łańcuckiego? A potem, kiedy nadeszły dla niego czasy ostateczne – także mistrzem umierania? Obaj naznaczeni stygmatem gruźlicy, która wzmagała nadwrażliwość, przyspieszała dojrzewanie psychiczne i przedwcześnie oswajała ze śmiercią. Można powiedzieć, że Łańcucki przegląda się w losie tego poety. Co nie znaczy, że przejmuje jego poetykę. W tomiku Lieberta *Kołysanka jodłowa* zdarza się naturalistyczna dosłowność, wręcz opisy fizjologii choroby. Nieraz towarzyszy im humor wisielczy. Nie ma tego w wierszach Feliksa. Łańcucki operuje zaledwie aluzjami, nie epatuje naturalizmem, nie dotyka brudu ani zgnilizny. Jego wiersze sytuują się w innej estetyce. Są powściągliwe i eleganckie.

Czym jest dla Łańcuckiego słowo poetyckie? Narzędziem służącym do przekazywania myśli i przeżyć, a może – jak dla romantyków – Słowem z mocą sprawczą? Zaledwie w paru wierszach znajdujemy motywy autotematyczne, ale na tyle wyraźne, że świadczą o próbach przemiany słowa w Słowo. A więc lekko wstawiony jubilat świętujący dwudzieste uro-

dziny myśli rymami i opędza się od atakujących go natrętnie skojarzeń:

Zieleń – lasy – mchy – porosty,
Sarny – szpaki – ryby – strumień,
Stawy – drzewa – rzeki – mosty. (...)
Rymy się gdzieś zapodziały,
Kłuje, snuje – poczęstuje?

Prowadzi dwoiste życie twórcy: „dni-uśmiechy, noce-słowa”. Dobieranie i dopasowywanie słów odbywa się w ukryciu, na zapleczu warsztatu. Czasem tylko dobiegają z niego pojedyncze sygnały. Jak w wierszu *Jeździec*, gdzie piszący wspomina z dystansu szalone młodzieńcze marzenia:

Poprzez strofy wierszy patetycznych
Cwałujące tętentem podków! (...)

Kulbaczone niecofniętym rytmem
Spięte rymu kolącą ostrogą...

Praca nad słowem trwa nieustannie. To ona w radosnym, witalnym wierszu *Jabłoń* pozwala – jakby nie na temat – wyznać: „tak ręce wiele warte”. Warte, bo pełne roboty. A ile jest warta poezja? Łańcucki szacuje ją podług miary romantyków – z upływem czasu jest to coraz wyraźniejsze. W okolicznościowym sonecie, napisanym na rocznicę urodzin i śmierci Słowackiego – okolicznościowym, a jednak nieobciążonym

żadną wadą – wierzy, że Słowa nie powołuje poeta, on je otrzymuje – a nawet może wymodlić:

Tylko w noc tę Poeta w czarnej pelerynie
Drapowanej patosem przez podwórzec płynie,
Gdzie kościelnych krużganków czernieją arkady. –

W samotności natchnienia przesiewa przez palce
Perlister gwiazdy – ziarna bożego różańca
I o Słowo się modli milczący i błądy.

Ale ta młodzieńcza wiara w słowo poetyckie rychło miała się załamać. Pod wpływem doświadczeń okupacyjnych – a najsilniejszym wstrząsem w tym czasie były masowe wywózki mieszkańców Kresów na Sybir – poeta sięga do tradycji starożytnej, aby w niej odnaleźć prawdziwą wagę słów i ustalić ich nową hierarchię. W sonecie *Sprzeczność* jest to tradycja Greków, ale jakby zapośredniczona przez Wyspiańskiego:

Muzo! Chociaż natchniona, fanatyczna, drżąca,
Gorącym wichrem smagasz, czarnym skrzydłem trącasz
I groźną ręką drogi wskazujesz tułaczę –

Poeta w zмовie z nocą, z drzewami w przymierzu,
Czule w struny potrąca zamiast w nie uderzyć,
I lutnia, co ma wzywać, pod palcami płacze.

Wobec przemocy historii poezja okazuje się słaba i bezradna. W wierszu *O słowach* poeta szuka siły, mądrości, prawdy i pocieszenia w tradycji jeszcze dawniejszej – u narodu, który wiedział, co to wygnanie:

Ale jeśli musimy tajne czynić gusła,
Czuć oddech mroźnych nocy i natchnienia ziąb,
Niech słowa nam się poczną, nie giną na ustach,
Niech siebie wytłumaczą i odkryją głąb.

Niech ze skały, jak Mojżesz, strumień wyprowadzą,
Co pragnienie by gasił i ochłodę niósł –
Fale przejrzyste, wierne – co nigdy nie zdradzą
Oracza, koni, wróbli, białopiennych brzoź.

Po Feliksie Łańcuckim pozostały słowa ulotne. Zawieru-
szyły się na tyle lat, niemal zaprzepaszczone –

Tragiczne jak list lila pachnący jaśminem,
Gdy dotarł na wieś głuchą po śmierci adresata.

A przecież...

Ta kartka wieki tu będzie płakała
I łez jej stanie.



Krzemieńscy licealiści: Paweł Hall, Feliks Łańcucki i Tadeusz Ożóg



Krzemieńscy licealiści: Ryszard Stachórski i Feliks Łańcucki

ŹRÓDŁA INFORMACJI BIOGRAFICZNYCH

Włodzimierz Danilczuk, „*Na „emigracji*”, „*Nasz Widnokrąg*”, 1930, z. 5

Z życia Liceum. Pierwsze zebranie Koła Dyskusyjno-Samokształceniowego młodzieży L. K., „*Nasz Widnokrąg*”, 1938, z. 4-5

Zofia Kozłowska-Jędrzejczyk, *Nota o Feliksie Łańcuckim*, „*Życie Krzemienieckie*”, lipiec 1994, nr 8

Zofia Kozłowska-Jędrzejczyk, *Nota o autorze*, w: Feliks Łańcucki, *Podwodne księżycy. Wybór wierszy*, Warszawa 1994, odbitka powielaczowa, w zbiorach Muzeum Niepodległości w Warszawie

Katarzyna Łańcucka, *Przedmowa*, w: Feliks Łańcucki, *Podwodne księżycy. Wybór wierszy*, Warszawa 1994, odbitka powielaczowa, w zbiorach Muzeum Niepodległości w Warszawie

Przeprowadzone rozmowy: z Aleksandrą Łańcucką w październiku i listopadzie 2011 roku, z Bronisławem Bożenkiem 19 listopada 2011 roku i z Janem Niewińskim w listopadzie 2011 roku

SPIS ILUSTRACJI

Feliks Łańcucki w wieku 10 lat. Fotografia pochodzi z powielaczowej odbitki Feliks Łańcucki *Podwodne księżycy. Wybór wierszy*, zbiory Biblioteki Naukowej Muzeum Niepodległości w Warszawie, Warszawa 1994; s. 60

Krzemieniec. Fragment miasta. Fot. Henryk Hermanowicz, zbiory Muzeum Niepodległości w Warszawie, nr inw. F – 14333; s. 60

Feliks Łańcucki w wieku 20 lat. Fotografia pochodzi z powielaczowej odbitki Feliks Łańcucki *Podwodne księżycy. Wybór wierszy*, zbiory Biblioteki Naukowej Muzeum Niepodległości w Warszawie, Warszawa 1994; s. 72

Krzemieniec. Fragment ogrodzenia Liceum Krzemienieckiego. Fot. Henryk Hermanowicz, Muzeum Niepodległości w Warszawie, nr inw. F – 14321; s. 72

Krzemieniec. Szczyt góry Bony z ruinami zamku o zmierzchu. Fot. Henryk Hermanowicz, zbiory Muzeum Niepodległości w Warszawie, nr inw. F – 13015; s. 76

Krzemieniec. Widok miasta i Liceum z góry Bony. Fot. Henryk Hermanowicz, zbiory Muzeum Niepodległości w Warszawie, nr inw. F – 13003; s. 76

Krzemieńscy licealiści: Paweł Hall, Feliks Łańcucki i Tadeusz Ożóg. Prywatne zbiory Haliny Jacuńskiej-Ogrodzińskiej; s. 106

Krzemieńscy licealiści: Ryszard Stachórski i Feliks Łańcucki. Fotografia pochodzi z powielaczowej odbitki Feliksa Łańcuckiego. *Podwodne księżycy. Wybór wierszy*, zbiory Biblioteki Naukowej Muzeum Niepodległości w Warszawie, Warszawa 1994; s. 106

SPIS TREŚCI

Inżynier /s. 5

Nokturn /s. 7

Dusza /s. 8

Akwarela /s. 9

*** (*W tę noc myślałem o Tobie...*) /s. 10

Księżyc dzieciństwa /s. 11

Jodły czorsztyńskie /s. 12

Podwodne księżyce /s. 13

W lustrze /s. 15

Cisza muzyczna /s. 16

*** (*Tu tylko cisza zachodu...*) /s. 18

Rybka na choince /s. 19

Prośba do lasu /s. 22

Przed burzą /s. 23

Ćmy /s. 24

Świątynie /s. 25

Wczesna wiosna /s. 26

*** (*Przyjaciele! To ku nam właśnie wybiegły wzgórza...*) /s. 27

*** (*Księżyc błyszczy w gotyckim nieba ostrołuku...*) /s. 28

Wołyń /s. 29

Jabłoń /s. 30

*** (*Jestem dzisiaj dziwnie wesół...*) /s. 31

Ulica Miodowa w Krzemieńcu. Ulewa /s. 33

Południe /s. 34

Martwa natura /s. 35

Chwile /s. 36

Sonata Księżycowa /s. 37

*** (*Tamta wiosna szumiła w drzewach...*) /s. 38

Bajka o śniegu strzelistym	/s. 39
Madonna Liryczna	/s. 40
*** (<i>Wszystkie twarze odpłyną...</i>)	/s. 41
*** (<i>Jeszcze się błady uśmiech na Twojej twarzy błąka...</i>)	/s. 42
Ucieczka z miasta	/s. 43
Sprzecznosc	/s. 44
Fryz	/s. 45
O rozbitej okarynie	/s. 46
Liliana	/s. 47
Flety	/s. 48
O słowach	/s. 51
Tarnina	/s. 52
Milcząca rzeka	/s. 53
Oczyszczenie	/s. 54
Jeździec	/s. 56
Śmierć i nędza	/s. 57
PRZEKŁADY	/s. 61
Iwan Franko Kamieniarze	/s. 61
Iwan Franko Zielony jawor	/s. 64
J. W. Goethe „ Der Sänger ”	/s. 65
H. Heine aus „ Neue Gedichte ”	
I. (<i>Lekko pieśń w mej duszy drga...</i>)	/s. 67
II. Błękitne oczy wiosny (Die Blauen Frühlingsaugen)	/s. 68
E. Boratyński *** (<i>O nie kuś znowu mnie daremnie...</i>)	/s. 69
M. Lermontow *** (<i>Odeszłaś, lecz jak zwiędły kwiat...</i>)	/s. 70
H. Heine „ Aus der Harzreise ” Prolog	/s. 71
NOTA EDYTORSKA	/s. 73
ANEKS Bożena Gorska ROZBITA OKARYNA	/s. 77
ŹRÓDŁA INFORMACJI BIOGRAFICZNYCH	/s. 107
SPIS ILUSTRACJI	/s. 108

Redakcja

Marzena Milewska

Projekt okładki

Bożena Gorska

Skład i łamanie tekstu

Krzysztof Woźniak

Wydawca

Muzeum Niepodległości w Warszawie, al. Solidarności 62, 00-240 Warszawa

www.muzeumniepodleglosci.art.pl

ISBN 978-83-62235-30-8

Druk i oprawa

Drukarnia Kolejowa Kraków Sp. z o.o., ul. Forteczna 20 A, 32-086 Węgrzce

www.drukkol.pl